№ 16. Warszawa, dnia 7 (19) Kwietnia 1879 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

LISTY Z PODRÓŻY

pisane przez

Stefana Marusińskiego do rodziny w kraju.

(Dalszy ciąg).

Morze Śródziemne rozlewając się w brzeg afrykański, tworzy przy mieście Alger zatokę obszerną po nad którą dokoła wznoszą się prześliczne domki, pałacyki i kioski zamożniejszych mieszkańców, oraz rozmaite restauracye i miejsca rozrywki. Jednem z piękniejszych takich miejsc jest Jardin Dessarx o ³/₄ mili od miasta nad samym brzegiem morza położony. Byłem tam jednéj niedzieli i rzeczywiście godny pochwały. Bardzo też piękne są aleje palmowe, platanowe, bambusowe i cyprysowe, prawie całéj flory zwrotnikowéj; aleje te, z wyjątkiem cyprysowych, tworzą prześliczne arkady albowiem wierzchołki drzew schodząc się z sobą przeszkadzają wdzieraniu się zbytecznie promieni słonecznych, i tym sposobem są miejscem przyjemnego spaceru. Przed kilku dniami udałem się za interesami o kilkanaście mil w głąb kraju, cóż tam za straszna spiekota to trudno sobie wyobrazić! Kraj o wiele już dzikszy, miast nie ma, tylko duary arabskie i gdzie niegdzie domki kolonistów. Alger w ogóle nie jest krajem ucywilizowanym i bardzo zamieszkałym. Po nad brzegiem morza spotyka się więcéj wiosek bo i klimat jest zdrowszy, daléj zaś po nad pasmem gór nadmorskich klimat jest nadzwyczaj gorący i suchy, przytem niezdrowy, oraz znajdują się już tam lwy, pantery i wiele innych drapieżnych zwierząt. Jedno z najpiękniejszych miasteczek, które na południowym stoku gór Atlasu się znajduje, jest Blidah niewielkie wprawdzie, ale literalnie zasypane drzewami pomarańczowemi i cytrynowemi, śliczna mieścina, głównym produktem handlu jéj mieszkańców są owoce.

Zabawną zrobiłem tu znajomość. Przed kilku dniami przybył okręt z Egiptu który przywiózł 170 sztuk dzikich zwierząt, między tymi znajdowało się: 7 słoni, 7 giraf, 6 lwów, 3 hipopotamy, 4 pantery, reszta tygrysów, jaguarów, gazelli, antylop i t. p. Właściciel téj menażeryi, czekając na statek, odpływający do Marsylii, ulokował swych wychowańców w 2 olbrzymich salach nad portem. Ciekawy widzieć to wszystko poszedłem tam i rozpocząłem rozmowę z właścicielem po angielsku, ponieważ słyszałem go mówiącego tym językiem. Po kilku chwilach pytam go jakiéj jest narodowości, odpowiedział mi że Niemiec, przemówiłem więc po niemiecku, jakżeż się ucieszył, nie wiedział co robić ze mną z radości, przywołał zaraz dwóch swoich towarzyszów i dopiero to była pogadanka. Proponowali mi nawet podróż z sobą do Paryża i Ameryki, gdzie mają sprzedać te zwierzęta, gdyż żaden z nich nie mówi po francuzku, a mają być na wystawie ze swą menażeryą.

W niedzielę d. 16 czerwca była tu uroczystość w Algerze z powodu 30 letniéj rocznicy zdobycia Algeryi; rano odbyła się wielka rewia przez generała Chanzy, następnie odśpiewano Te Deum w katedrze, wieczorem zaś przechodziła muzyka z pochodniami, śpiewano marsyliankę i aż dopiero późno w noc wszystko się skończyło. Nie mogłem oka zmrużyć noc całą tak straszny był hałas, śpiewy, krzyki, kłótnie, bijatyki i to codzień tak a jeszcze przy téj uroczystości wszystko w dwójnasób. Policya robi co może ale wiele nie może bo to ludzie południa, krew gorąca, jak się pokłócą, zaraz noże na wierzchu i zdarza się często, nawet zbyt często, że trup leży na ulicy. Po największéj części są to Maltańczycy i Hiszpanie.

Interesa jakie tu miałem poszły dość dobrze jak na pierwszy raz, towary które zakupowałem częścią udało mi się sprzedać do Francyi częścią wyekspedyowałem do Londynu, teraz zaś jako agent mam się udać do Egiptu i być obecnym przy transporcie i sortowaniu bawełny, sprawozdania posyłam do agentury w Indyach. Zajęcia aż do dziś dnia miałem wiele, dziś zaś już nic nie ma prawie tylko przygotowuję się do podróży i piszę listy oraz zdaję rachunki. Przez cały czas mego pobytu tutaj zdrowie mi służyło doskonale, co dość rzadko się zdarza, albowiem różnica klimatu między Europą jest znaczna. Dzięki Bogu za to; spodziewam się że i w kraju Faraonów i krokodyli zdrowie mi dopisze. Godziny zajęcia mego urządziłem sobie bardzo rano i wieczorem, ponieważ po południu zbyt jest gorąco każdy śpi sobie w najlepsze, o godzinie zaś 9 wieczorem idę na koncert do ogrodu nad morzem i usiadłszy pod palmą słucham muzyki, która wieczorem przy blasku księżyca i widoku morza bardzo miłe sprawia wrażenie. Przytem fantastyczne ubiory Beduinów, Arabów i Turków przechadzających się poważnie, dodają niemało uroku. Nie uwierzycie drodzy jak mi się to wszystko jeszcze obcem wydaje, myślę że to sen lub teatr i ciągle zdaje mi się że za chwilę wszystko zniknie a ja znajdę się w domu pośród wszystkich moich ukochanych.

Co do tutejszego życia to nie jest drogie i tak np. za 1 złr (gulden) można mieć doskonały obiad z owocami i butelką wina, to ostatnie bardzo jest tanie [litr kosztuje 40 centimów to jest 20 krajcarów, owoc też prawie za darmo: kupując na targu dla siebie do domu płaciłem za 15 moreli dużych i ładnych 4 centy: za cytryny i pomarańcze po 2 do 3 centów, lecz takich w Europie nie dostanie, bo co tam się wysyła to są wszystko owoce niedojrzałe gdyż inaczéj zepsułyby się zupełnie przed przybyciem na miejsce. Gruszki jabłka i inne północne owoce są ale już trochę droższe, winogrona dopiero od 2 tygodni mamy.

Koncerta z wyjątkiem piątku są codzień i to bezpłatnie, Alger jest więc miastem przyjemnem dla tych co mają pieniądze i mogą tu mieszkać. Na zimę dosyć Anglików tu zjeżdża bo wszystko tu kwitnie a upałów nie ma wielkich, teraz zaś z powodu gorąca cała natura obumiera, interesa się kończą bo już po zbiorach nie ma co robić.

Byłem dziś w meczecie arabskim, lecz wchodząc musiałem zdjąć pantofle czy meszty jak wolicie, gdyż cała posadzka pokryta jest dywanami. Meczet ten jest jednym z najstarszych, jeszcze podobno budowany za Kalifów, widziałem w nim 2 ambony, i obraz przedstawiający Mekkę i Mahometa oraz kilka zdań z Koranu napisanych na czarnych tablicach. Obok modlili się Arabowie bardzo nabożnie, wykrzykując „Ałłah jest wielki.“ Żydzi mają też swoje synagogi, lecz nie są tak zacofani jak u nas.

Wyjechawszy ztąd zatrzymam się kilka godzin na Malcie i przy tej sposobności zobaczę owe 7,000 żołnierzy angielskich z Indyi, których transport i życie przez 5 miesięcy kosztowały *27 milionów franków* to nie bagatela! Może nie wierzycie lecz powołuję się na gazety angielskie, jeżeli one przesadziły nie moja wina. Algerya to ładny kraj, taniość ogromna, przyroda bogata, rozmaitość wielka, życie gorące zdaje się że to słońce krew gotuje, to też i uczucia o wiele gwałtowniejsze niż u nas. Co dzień po parę morderstw, z zazdrości mąż zabił żonę i jéj amanta; dwóch znów Hiszpanów kiedyś się zakłuło z nienawiści, i tak ciągle!

Moje drogie siostry nie poznałybyście mnie zupełnie, ubieram się całkiem inaczéj: noszę ogromny jawański kapelusz, pantofle na korkach bardzo wycięte, i szeroki pas biały, za który zatknięty sztylet bo to potrzebne niekiedy. Pomimo kapelusza opaliłem się niemal jak Arab, schudłem trochę lecz zdrów jestem zupełnie.

Do widzenia w Egipcie!

(*d. c. n.*)

Pieśń o biednéj Handzi.

Oj kwitło dziewczę u swojéj matki,
Jak kwitnie ruta w zielonym sadzie;
Pod dachem małéj rodzinnéj chatki,
Nie śniło nigdy dziewczę o zdradzie.
I było cicho i błogo było
W sercu i główce, a sny tak hoże
Śniły się zawsze—dziewczę nuciło
Piosnki u okna w swojéj komorze:
O koniu wronym co biegł przez pole,
I o nieznanym jasnym sokole.

Nadchodzi dzionek świętéj niedzieli,
Każdy się stroi w odzież od święta,
W ulicach sioła lud się weseli,
Śpieszą pohulać chłopcy, dziewczęta,
Bo tuż gospoda—a tam w gospodzie
Słychać muzykę—a więc do tanka!
Staje hulaszcza młódź w korowodzie
I z pełnem życiem idzie hulanka!
Dziewczyna tańczy—tańczą jéj dróżki,
Aż szumi w główce, aż bolą nóżki.

Ale po tanku zkąd ta zaduma?
Czy ją nawiewa grą dudarz stary,
Czy swoją skazką zwodnica kuma?
Czy to uroki, czy to są czary?
Ej pieśni, dumki o koniu wronym,
I o sokole i o kalinie,
I o jaworze w gaju zielonym,
Zdurzyły młodą główkę dziewczynie—
I pokochało dziewczę sokoła
W postaci chłopca, tylko nie z sioła.

Zkąd on?—Zdaleka?—Kto?—Niewiadomo.
Dla wszystkich hardy, wszędzie samotny:
Dziewczyna wzdycha doń pokryjomo:
O biedna! biedna! to ptak przelotny,
Którego zwabił wdzięk okolicy;
On chwilkę spocznie i w dal pogoni,
Bo nie dla niego serce dziewicy,
Prostota ludu, cisza ustroni.
Wiadomo światu, że sokół młody
Pragnie przestworu, pragnie swobody.

Dziewczę nie zważa; bo on tak cudny,
Jak w pieśni, skazce téj kumy staréj;
Serce dlań bije—i upor trudny,
Kiedy te serce otoczą czary.
— Chwileczkę z tobą jasny sokole!
Potém leć sobie gdzie niosą oczy,
Za siódmą górę, za siódme pole,
Ja tu zostanę o mój uroczy!
Niech drużkom służą ruciane wieńce,
A ja samotna zasnę w trumience.

I byłoż, było tyle uciechy
W dumkach uroczych lśniących nadzieją;
Sąsiadki czynią z dziewczęcia śmiechy,
Solą im w oczy—niechaj się śmieją!
Mateczka krzyczy:—ej Handziu płocha!
Biegając za nim nabiegasz licha!
Handzia nie słucha, bo Handzia kocha,
Handzia z miłości jak kwiat usycha,
A czy on kocha, czy przyśle swaty?
Któż to zrozumie ten ród skrzydlaty.

Nadeszła jesień pełna tęsknoty,
Wiatr goni w polu, szumi dąbrowa,
A w téj dąbrowie on wśród pieszczoty
Mówił dziewczynie:—bywaj mi zdrowa!
Idę, bo goni mnie los mój srogi
Na cztery wiatry, na cztery drogi,
Być tu nie mogę—będę daleko—
Za siódmą górą, za siódmą rzeką,
Gdzie nie dojadę—to tam dopłynę,
Gdy nie powrócę—to pewnie zginę.

Wskoczył na konia—i przez zagony
Uniósł go szybko koń jego wrony;
Tylko się słyszał tentent z doliny,
A w takt mu biło serce dziewczyny.
Przez pola, drogi i przez rozłogi,
Jeździec przeleciał jak kruk złowrogi;
Nakoniec mignął—i znikł w tumanie.
Wiatr za nim uniósł dziewczyny łkanie,
Zostały puste lasy i pola,
W pośród nich Handzia, a z nią jéj dola.

Ej dolo chytra! ej dolo płocha!
Tyś jednym matką, drugim macocha;
Jednym ty wijesz ruciane wieńce,
Drugich ty składasz w białéj trumience.
Ej! pieśni, pieśni! ej wy morderce!
Czemu durzycie wy biedne serce?
Was nieposłuchać, trzeba być głazem,
Z wami boleśnie i słodko razem,
Lecz czemuż życie tak się nie prześni,
Jak to się śpiewa w uroczéj pieśni?

Zima zniszczyła kwiaty doliny,
A smutek zniszczył serce dziewczyny;
Kwiaty odrosną, gdy maj powróci,
Ale maj serca już nie ocuci.
Śpi ono biedne w ziemi głęboko,
On zaś—ów sokół lata wysoko,
Wabią go gwiazdy, co błyszczą w górze,
Kwitną mu w dole lilie i róże,
I nikt nie powie, nikt nie odgadnie.
Na jakie niwy znowu on spadnie.

Gdy przyjdzie wiosna, dziewice miłe,
Spieszcie odwiedzić Handzi mogiłę:
Tam rozpościera krzyżyk ramiona,
Pod krzyżem rośnie ruta zielona,
Na téj mogile biednéj kochanki,
Zmówcie pacierze, uwijcie wianki
Ku téj pamięci—że serce młode
Powinno cenić swoją swobodę,
A gdy ją odda miléj osobie,
To niech już kocha równego sobie.

Autor pamiątek z Litwy.

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

19 listopada.

Cóż to znowu za traktat uczony o miłości? Zlituj się, to dzieło akademiczne. Nie miałam nawet wyobrażenia o twoim talencie tworzenia tez i antitez! Jedna rzecz może mi tylko to wytłomaczyć. Jeżeli człowiek jest czemś do głębi przejęty, to może w tym kierunku coś nawet mistrzowskiego zdziałać. Tak też i z tobą się dzieje. Widać że serce twoje silnie pragnie uczuć miłości, jeżeli mógł się przed tobą otworzyć tak szeroki horyzont myśli, odnoszących się do tego uczucia.

Ale wierzaj mi nic nie ma nudniejszego jak poważne rozprawy o miłości. Na katedrze wydaje się to może nieźle, ale kobieta w skrytości serca śmieje się z tego. Czy uchwycisz ów wiatr co po łąkach wieje? Czy sięgniesz ręką po mgłę różową, pod którą płyną ptaki w złotych kąpiące się promieniach? Czy schowasz do kieszeni, jak ów turysta z nad Wołgi, jedną z pięknych melodyi Gounoda w Fauście, *aby jéj nie zgubić?* Czy zresztą chcesz pod paragrafy kodeksu podciągnąć ów eteryczny uśmiech pięknéj kobiety lub jéj elektryczne spojrzenie, które przecież jako świadków przed trybunał rozumu postawić ani ich zaprzysiągnąć nie możesz!...

A przecież z takich tylko nieujętych rzeczy składa się miłość, z tych drgnień subtelnych światła i koloru, z przelotnych wrażeń temperatury ciepła i zimna, z wibrujących tonów głosu i muzyki i tych dziwnie rozkosznych majaczeń, dla których nie ma przestrzeni!...

Bardzo jednak chwalebnie z twojéj strony, że z taką powagą zastanawiałeś się nad niepochwytną grą niewidzialnych atomów, z których chciałbyś sobie trwały grunt swego przyszłego szczęścia zbudować. A ja ci powiadam że wszelkie rozumowania twoje upadną *quand la femme lé veut.* Otóż wszystko zależy od kobiety, któréj powierza się przyszłość swoją. Nie patrz na żadne inne poboczne względy, tylko na kobietę! Kobieta która kocha i kochać umie, jest wszystkiem!

Na traktat, traktat. Żegnam cię.

20 listopada.

Dla mnie i dla Flaminii był wczorajszy dzień dniem smutku. Ojcu było gorzéj a staruszka także coś słabiéj wyglądała. Pod wrażeniem takiem rozmawiałyśmy o różnych wiążących nas do świata stosunkach i uczuciach. Już to wiele rzeczy jest dla Flaminii niezrozumiałych. Nie doznawszy nigdy miłości rodzicielskiéj, jest przekonaną, że ta miłość absorbuje nas całych i że dla innych osób silniejszych uczuć mieć nie możemy. Wyjmuje tylko z pod tego prawa uczucia rodzeństwa, które łączą się razem z wielkiem ogniskiem miłości rodzicielskiéj. Dlatego nie może pojąć, jeżeli ja przez godzinę o tobie nic nie mówię a za to mówię o bardzo ładnym poruczniku od marynarki, który codziennie o jednéj porze po pod naszym balkonem na gondoli płynie... Ona chciałaby całemi godzinami słuchać o tobie. Gdy z niéj z tego powodu żartuję, odpowiada mi z powagą, że to czyni dla mnie, że mnie kocha i że dla tego wszystko jest dla niéj ciekawem, co mnie obchodzi i co do mnie należy. Uśmiecham się na to i czynię zadość jéj życzeniu. Opowiadam o tobie różne historye, a ona słucha ich z taką uwagą, jakbym czytała książkę drukowaną.

Ztąd też pochodzi, że cię zna lepiéj może niżeli sobie wyobrażasz. Różne drobne nawet szczegóły i epizody twego życia zna doskonale, a gdym jéj opowiadała o twojéj szalonéj odwadze, jak na pękającym pod twemi krokami lodzie ratowałeś biedną rodzinę włościańską, która wraz z furą się załamała i tonęła, to na przemianę bladła i rumieniła się jakby sama na niebezpieczeństwo twego życia patrzała! A kiedy rodzina włościańska i ty byłeś już na lądzie, odetchnęła z całych piersi i rzekła do mnie zarumieniona:

— Teraz pozwalam cię brata twego ode mnie pozdrowić!

Wprawdzie cofnęła potem to pozwolenie, gdy rozsądek wziął górę nad wzruszeniem, ale zdaje mi się że nie popełniam zdrady, jeżeli tobie o tem donoszę.

Tak więc mój drogi Maryanie, sam nie wiesz jak często jesteś przedmiotem naszéj rozmowy nad Adryatykiem, podczas gdy tam jak w najlepsze z panem Krzysztofem o gorzelni i o wołach rozmawiasz! Ty pracujesz dla nas mój biedny, za to bądź przekonany, że siostra twoja cię kocha i jak najlepiéj tobie życzy. Nie zapominaj i ty o twojéj Elizie.

23 listopada.

Jesteś niepoprawny. Piszesz mi, że ci głowę zawracam, że w końcu gotów jesteś uwierzyć marzeniom swoim, które w sercu twojem rozbudziłam.

Wierzaj mi, piszę tylko prostą suchą kronikę tego co widzę i słyszę. Tysiące rzeczy pomijam, bo nawet nie starczyłoby na to czasu, aby je spisywać. W rzeczach uczucia, jedno spojrzenie, jeden uśmiech, kilka słów oderwanych więcéj znaczy, niżeli najdłuższy dyalog. Z tego możesz wnosić, jak mała część tylko na papier przechodzi, co się tutaj mówi i widzi.

Aby ci jednak dać poznać, że i ja nie jestem znowu tak łatwowierną, otóż donoszę ci o małym, w gruncie niewinnym podstępie, jakiego użyłam, aby się o moich domysłach przekonać. Oto przedwczoraj powiedziałam Flaminii, żeś niebezpiecznie zachorował. Chciałam, abyś ją był wtedy widział. Nagle zmieniła wyraz twarzy i głosem, który tylko kobieta ocenić potrafi, zapytała mnie, czy zaraz nie telegrafowałam!... Gniewała się na mnie jak nigdy jeszcze, żem tego nie uczyniła i póty nie odstąpiła póki potrzebnych kroków do wysłania telegramu nie poczyniłam. Tego samego dnia była cztery razy u mnie, dopytując się gwałtownie o twoje zdrowie. Miałam z tego powodu nie mało kłopotu, bo kazała mi sobie pokazywać telegramy, których oczywiście nie było!...

Nie uwierzysz jak piękną była w tych wzruszeniach swoich, jak cudownie błyszczały jéj oczy barwą najpiękniejszych fijołków!... Wprawdzie tłomaczyła się za każdym razem z tych wzruszeń swoich podając za powód przywiązanie do mnie i wynikającą z tąd obawę, abym się twoją chorobą bardzo nie zmartwiła!...

Sądzę jednak, że razem ze mną ten niewinny wybieg dziewicy, która przedewszystkiem godności swojéj przestrzega, należycie ocenisz. Żałuję tylko że ci nie mogę odmalować z wszelkiemi szczegółami tego uroczego niepokoju, jaki ją opanował na wieść skłamaną o twojéj chorobie. Tylko kobieta kochająca może się tak niepokoić o tego, którego jawnie lub skrycie kocha!...

Może za wiele ci dzisiaj napisałam, ale wierzaj mi, miałam w tem wielką przyjemność. Obyś i ty tych kilku wierszy nie odczytał bez wzruszenia, czego życzy ci twoja siostra Eliza.

24 listopada.

Pośpieszam do ciebie z ważną wiadomością, która na treść dalszych listów naszych może wywrzeć wpływ wielki.

Oto Flaminią zajął bardzo pewien włoski hrabia który za naszem pośrednictwem chce się o jéj rękę oświadczyć. Jest to bardzo przystojny i dobrze wychowany mężczyzna mniéj więcéj w twoim wieku i pochodzi ze starożytnéj familii weneckich *nobili*. Ma mieć także znaczną fortunę.

Dotąd jako pośredniczka trzymam go jak mogę zdala od Flaminii, która jeszcze o tem nic nie wie. Czy mi się to dłużéj uda, nie wiem. Włoch jest namiętny i nią oczarowany. Eliza.

29 listopada.

List twój dzisiejszy zmartwił mnie. Z jednéj ostateczności wpadniesz w drugą. Nie dawno byłeś optymistą, dziś widzisz wszystko w czarnym kolorze. Przed miesiącem i w ciągu miesiąca miałeś w gospodarstwie tak świetne nadzieje, dzisiaj powiadasz, że wszystko na świecie cię prześladuje, że nawet w marzeniach swoich nie możesz długo rozkoszować!

Biedny człowieku! któż temu winien? Marzenia są dobre ale nie trzeba ich zbyt długo przeciągać. Trzeba o nie stoczyć walkę z rzeczywistością o ile ta da się urzeczywistnić. Taki jest tryb rzeczy na ziemi. Kto tych warunków nie uznaje, ten sam sobie winien, jeżeli rzeczywistość obok niego przejdzie, a marzenie jego zostanie na boku.

Hrabia *Stella* bywa często u nas. Flaminia myśli że on o mnie się stara i dla tego jest względem niego bardzo powściągliwą. Stanowisko moje między nimi jest bardzo trudne, chociaż sama nie wiem jak się to wszystko zakończy. Z wielu względów życzyłabym sobie, abyś był między nami. Wczoraj nawet pytała mnie Flaminia z pewnem zamyśleniem na czole, czy nieprzyjedziesz.

Na niejaki czas zaprzestanę pisywać tak często do ciebie, chyba że co ważnego zajdzie. Mam moje własne kłopoty, które mi wiele zabierają czasu. może się kiedy dowiesz o nich, jeżeli się pomyślnie zakończą, w przeciwnym razie fala zapomnienia pokryje je na zawsze! Ściskam cię serdecznie. Nie zapominaj o swojéj może więcéj od ciebie nieszczęśliwéj siostrze! Elizie.

Był to ostatni list, który Maryan otrzymał od Elizy.

Zbytecznie jest przechodzić wrażenia jakich biedny samotnik doznał w czasie tych wszystkich listów.

Nic tak prędko nie postępuje jak uczucie poczęte w wyobraźni. Nie ma tu żadnych granic światowych, jest przestrzeń bezkresna, po któréj można bujać wesoło jak ptak buja pod błękitnem niebem!...

To też nic dziwnego, że biedny pracownik wchwilach wolnych od twardych obowiązków puszczał wodze wyobraźni, która go często zanosiła nad Adryatyk!... Wyobrażał sobie podług listów siostry to miasto cudowne, płynął na gondoli pomiędzy pałacami patryucyuszów Rzeczypospolitéj i pieścił się z gołąbkami św. Marka, które tak malowniczo wydawały się na tle tego miasta z wody i marmuru!...

Nic więc dziwnego, że po ostatnim liście siostry długo co noc chodził zamyślony po swoim pokoiku, że nie widział dopalających się świec ani nawet jutrzenki, która do jego okien jak wstydliwa dziewica w porannéj szacie zaglądała!...

Wreszcie zdjął mapę ze ściany, przedstawiającą Europę i poszedł okiem nad Adryatyk. Zmierzył przestrzeń między karpatami a Adryatykiem. Przestrzeń nielada.. ale za pomocą pary...

Rozśmiał się.

— Czyby nie poczytano mnie za waryata? rzekł sam do siebie, gdybym to zrobił?... Po co i na co? Czy chwytać te mgły po niebie czy ten wiatr, który po drzewach szumi?...

Zamyślił się.

— Przecież tam są rodzice i siostra, myślał po chwili, wypadałoby przecież ich odwiedzieć!... Tak... nawet byłoby dziwnem, gdybym niepojechał!... Eliza pisze że ojcu czasem gorzéj... ona także skarży się na jakieś nieszczęście... trzeba pojechać! Tak... to przecież jest moim obowiązkiem!

Rozmówiwszy się w ten sposób z sobą, był kontent, że wynalazł bardzo słuszny powód wyjazdu do Wenecyi!

Ale wnet postawił mu zły jakiś duch przed oczyma gorzelnie, woły, młocarnie i inne podobne obrazki sielanki wiejskiéj.

Cofnął się na ten widok Maryan. Wyraz smutku przebiegł po jego twarzy. Niedługo jednak trwał ten smutek. Na tle bowiem tego nieponętnego obrazu wychyliła się w całéj okazałości uśmiechnięta twarz pana Krzysztofa, który dobrotliwie mrugał do niego jakby mu chciał powiedzieć:

— Jedź, a ja tu zostanę!

Podobała się ta myśl Maryanowi i postanowił natychmiast z niéj korzystać.

Listownie nie chciał jednak téj myśli udzielić zacnemu panu Krzysztofowi. Już dla samego afektu chciał pojechać do przyjaciela i w jego domu osobiście przełożyć mu prośby swoje.

Gdy dzień tylko nastał, kazał zaprzęgnąć do wózka, a wschodzące słońce jesienne zastało już go w drodze.

(d. c. n.)

NA WYSPIE.

NOWELLA

Fr. Spielhagena.

przekład z niemieckiego.

(Dalszy ciąg).

Rozdział VII.

Nazajutrz bardzo rano, popłynął komendant do miasta; a z powodu ułożonéj wycieczki na przylądek

sąsiedniéj wyspy, po południu wcześniéj jak zwykle zebrało się całe towarzystwo, i obficie zaopatrzone w dobry humor, płaszcze, szale i zapasy żywności, wsiadło na łodzie przygotowane przez samego papę Waltera, a sterowane przez wybranych przez niego ludzi. Pogoda sprzyjała im najzupełniéj, i według umowy z Gustawem najpierw popłynęli do Baggeon, by go z sobą zabrać; lecz ten zdaleka już wołał przez tubę morską: jedźcie daléj, mam wiele do czynienia i z miejsca ruszyć się nie mogę. Ta wieść niespodziewana zachmurzyła na chwilę wesołość towarzystwa; Paweł liczył wiele na pojawienie się kuzyna w ich gronie, z którego tenże od pewnego czasu usunął się zupełnie: to téż podał myśl odłożenia wycieczki na czas inny, ale nikt go nie poparł nawet Klementyna, która spokojnie odrzekła: zapewne, Gustaw musi być bardzo zajęty, ale nie widzę potrzeby marnowania tak pięknego dnia, dlatego że która z maszyn popsuta, lub któréj szruby brakuje; a że Gustaw dodał iż zapewne za godzinę będzie już mógł podążyć za niemi, więc popłynęli daléj. Na parlamentowaniu tak z jednéj jak z drugiéj strony, dużo ubiegło czasu, dość że nad wieczorem dopiero przybili do przylądka. W małéj zatoce rzucili kotwicę, starszy z majtków został jako załoga na statku, a młodszy obarczony zapasami żywności, towarzyszył wesołemu gronu. Szli wysokim stromym brzegiem, a na szczycie znaleźli się u wejścia do starego jodłowego lasu, w którego wierzchołkach wiatr wraz z przerywanym szmerem fali, tworzył koncert dziwnych melodyi. Rzuciwszy wzrokiem na modre morze u ich stóp leżące, i daléj na Nedur wydający się w tem oddaleniu jakby małą ławą piasku, zagłębili się w las, by dojść do mogił Hunnów, właściwego celu dzisiejszéj ich wycieczki, a które pan von Elze, jak sam utrzymywał, odkrył niedawno. Lecz mimo wszelkich jego zapewnień, widocznem było że sam nie wie dokładnie położenia tychże, i blizko pół godziny błądzono po lesie, podczas czego winszowała mu Hedda łatwego daru orientowania się, błagała, by ją nie wydał okrutnym Irokezom, i uroczyście zapewniała że wolałaby umrzéć, niż jako małżonka wodza żyć z nim w wigwamie. Porucznik zapewniał że to miejsce zaczarowane być musi, Hedda twierdziła że Hunnowie zmartwychpowstali, gdyż to zapewne ich sądny dzień dzisiaj, nareszcie zawołała wesoło: „Nakoniec zbiegów odszukać muszę, i przekonam się, czy przedemną ukryć się zdołają!“ i z temi słowy pospieszyła w kierunku z kąd przyszli tak szybko, że jéj zaledwo nadążyć było można; i oto! zniknęła wśród gęstych drzew, a za chwilę donośnym dźwięcznym zawołała głosem „Tutaj! tutaj!“ Podążono za głosem i niebawem całe grono znalazło się na małéj łączce najstarszemi i najwyższemi otoczoną jodłami, w środku któréj rzędem sterczały ogromne kamienie, a na najwyższym z nich stała wysmukła, wiotka postać Heddy. W białéj sukni z podniesioną w górę ręką, wśród wieczornego zmroku i tych drzew olbrzymich, wydawała się jakby geniuszem tego uroczego miejsca. Potem dążąc naprzeciwko nich zeskoczyła z kamienia i opowiadała wesoło, że miejsce to zna od lat sześciu, ale pana von Elze niechciała pozbawić zaszczytu odkrycia. Teraz uważniéj przypatrzono się mogiłom. Było ich dwie, położone w jednéj linii, i tylko małą przestrzenią oddzielone od siebie; jak utrzymywał porucznik zwrócone były wprost ku wschodowi, czyli raczéj ku południowo-wschodniéj stronie mówiąc językiem młodego sternika. Każdą z mogił pokrywały cztery kamienie, z których największy leżał w głowach. Gęsty miękki mech, jakby kobiercem pokrywał kamienie i ziemię; przez wysokich jodeł gałęzie przeciskało się przyćmione światło, a wśród uroczystéj ciszy wyraźnie słychać było szum niedalekiego morza, wszystko składało się na to, by spokojne miejsce które starzy bohaterowie wybrali sobie na wieczny spoczynek, zarówno pełne tajemnic, jak pełne grozy czyniło wrażenie.

— Jak to dobrze ze strony tych poczciwych Hunnów, że przed tak dawnemi pomarli czasy, rzekła zamyślona Hedda.

— A to czemu? zapytał Paweł.

— Gdyż kamień ten służyć nam dzisiaj może, za stół do wieczerzy, nie ubliżając w niczem duszom spoczywającym tu Rynosów, Ullinsów, Moraosów i tych wszystkich innych walecznych.

Rzeczy zostały rozpakowane, a podczas gdy panie stół kamienny nakrywały, Paweł i pan von Elze wznieśli nad brzegiem flagę, złożoną z wiosła i chustki na nim umocowanéj, która w razie przybycia Gustawa za znak służyć mu miała. Młody sternik, opatrzony w zapasy dla siebie i swego siwego towarzysza, do łodzi odesłany został, które teraz bezpośrednio pod niemi stały, co nie mało cieszyło Heddę gdyż przekonała wszystkich że idąc w górę przechodzili tuż koło tego miejsca.

Potem w koło zastawionego stołu w miękkim mchu rozłożyli się wygodnie, a byli tak szczęśliwi jak tylko szczęśliwem być może towarzystwo z młodych złożone, spoczywające na staréj mogile Hunnów, wśród starszego jeszcze jodłowego lasu na wybrzeżu odwiecznego morza!

Paweł i dzisiaj nie był wolnym od smutnych myśli, które męczyły go od dni kilku, a tego zwłaszcza wieczoru dokuczały mu silniéj niż zwykle. Podczas gdy jak mógł najtrafniéj odpowiadał na żarty Heddy, w milczeniu bacznie śledził naprzeciw siedzącą parę. Porucznik ożywiony był do tego stopnia, że po raz pierwszy pojął Paweł możliwość znajdowania tego człowieka przyjemnym i zajmującym. Oczy jego niezwykłym świeciły blaskiem, a Paweł uważał że od Klementyny nie odrywał ich prawie. Mówił wiele, kieliszek za kieliszkiem wychylał, jak to niektórzy ludzie czynią bezwiednie, gdy opanowani są myślą jaką lub uczuciem, czy to dla tego by chęć do życia powiększyć czy téż by wzmocnić siły, które zarówno ból jak i radość pochłania. Klementyna zaś była więcéj milcząca niż zwykle, ale tak uważnie słuchała opowiadań pana von Elze, że aż Hedda zmuszoną była odezwać się do niéj:

— Zaklinam cię Klementyno, odpowiedz mi na pytanie, które zadaję ci po raz trzeci: czy chcesz jeszcze kawałek budynku? I znowu ten rumieniec właściwy Klementynie przebiegł po jéj twarzy, a Paweł westchnął w milczeniu.

Właśnie rozmawiali o tem czy Gustaw przybędzie lub nie, gdy pan von Elze żartobliwie zapytał; Niech mi kto wytłomaczy z kąt mógł powstać ów przesąd, że mężatce nie uchodzi bywać wśród ludzi bez męża?

— Dlaczego pan to przesądem nazywa? Zapytał Paweł.

— Dla tego że nie znajduję w tem rozsądnéj przyczyny!

— Zwykle, odrzekł Paweł, najchętniéj dzielimy przyjemności z osobą którą najwięcéj kochamy, a że dla żony osobą tą jest mąż lub nią być powinien...

— Być nią powinien! być nią powinien!

Śmiejąc się zawołał porucznik, nigdy jeszcze nie słyszałem aby mężatka męża swojego ukochanym nazwała, najwyżéj kochanym a i to jest już eufonizmem; Grecy Morze Czarne gościnnem nazywali, dla tego właśnie, że tak niegościnne było.

— Ja mówię o tem tylko co być powinno nie zaś o tem co jest, zawołał Paweł. To, „jest“ wkrótce by nas za głowy wzięło, gdyby to co „być powinno“ nie rzekło słowa prawdy od czasu do czasu.

— Wy filozofowie, odpowiedział porucznik nalewając pełny kieliszek, radzibyście waszym kategorycznym rozkazem świat cały ujarzmić; ten musi być twoim panem, mówicie, ale to mądre prawo nie pyta czy rzeczywiście zasługuje on na to by był twoim panem.

— To rzecz inna! zawołał Paweł, prawo nie jest obowiązane stosować się do jednostek, ale jednostki mają obowiązek stosować się do prawa!

— W takim więc razie prawo musi być bardzo rozsądne, wtrąciła Klementyna.

— To się rozumie, droga kuzynko. Ale jednostka jakże łatwo wtedy prawo za nierozsądne uważa, gdy jéj wyjątkowego położenia na uwadze nie miało gdyż miéć tego nie mogło!

— Ale pan przyznać musisz, zawołał z tryumfem pan von Elze, że prawo choćby najdoskonalszem było, często bywa nierozsądnem dla niejednéj jednostki i dla nie jednego wyjątkowego położenia.

— To przyznaję, odrzekł Paweł spokojnie, ale pomimo tego, prawo nic na świętości swojéj nie traci. A że we wszystkiem są wyjątki, na to my ludzie powinniśmy zawsze być przygotowani; przykład bez zarzutu jest prawdziwą rzadkością.

— Sądzę że małżeństwo znajdzie w panu wielkiego zwolennika, dodał porucznik.

— Dlaczego właśnie małżeństwo?

— Dlatego, iż zdaje mi się że nie ma rzeczy z któréjby trudniéj było wyjść bez zarzutu.

— Naturalnie, czem dalszy cel tem rzadziéj bywa osiągnięty, nad brzydkiego człowieka nie ma nic brzydszego na świecie, dlatego właśnie, że nic w naturze nie równa się piękności człowieka.

— A wierzysz pan w zupełnie szczęśliwe małżeństwa?

— Przedewszystkiem nie wierzę w żadną doskonałość na świecie!

— W takim razie na co się zdało to dążenie do doskonałości?

— Bez tego usiłowania bylibyśmy bardzo nieszczęśliwemi istotami.

— Bylibyśmy zmuszeni poprzestawać na dobrem.

— Bezwątpienia takie i moje zdanie.

— Ależ pan jesteś z sobą w sprzeczności!

— Na pozór tylko! Jako przykład weźmy miłość.

— Za pewnik uznać należy, że żadna śmiertelniczka nie dosięga doskonałości naszego ideału.

— O! to wcale nieuprzejme dla kobiet! wtrąciła Hedda.

— Niestety sąsiadko! prawda musi mieć pierwszeństwo przed grzecznością. To smutne ale tak być powinno!

— Mów daléj sąsiedzie, a więc w porównaniu z naszym ideałem, każda śmiertelniczka jest małym potworem.

— Co do mnie przyznaję, lecz mimo tego kochać będziemy małego potworka, bo przecież czasami, w oddali przy zachodzie słońca, odblask ukochanego ideału przesunie się po brzydkich jego rysach!

— Więc biorąc rzeczy konsekwentnie, najnieszczęśliwsze małżeństwo, jest jeszcze lepsze jak żadne? z ironią odezwał się pan von Elze.

— Jak powiedziałem, nie ma zupełnie szczęśliwego małżeństwa, więc i nieszczęśliwe są dość zwykłą rzeczą. Prawdę mówiąc, każde, choćby najszczęśliwsze małżeństwo zawsze jest rezygnacyą.

— Ależ sąsiedzie okrutnym jesteś dzisiaj!

— Powtarzam, jest to rezygnacya, ale rezygnacya konieczna. Wszakże my ludzie powinniśmy być przygotowani na wszystko, a więc i w tym względzie. My wszyscy, tak jak ów uczeń w Fauście, radzibyśmy: „ogarnąć co jest na ziemi i niebie, wiedzę i naturę, a jednak zadawalniać się musimy, tylko cząstką tego co nazywamy szczęściem!... Tak

jak dziecko które grosz na piernik dostanie radeby wszystkie zakupić, ale niestety! jeden mu tylko wybrać wolno, a szczęście jego w tem jeżeli ten właśnie najlepiéj mu smakuje!

— A w razie, gdyby mu nie smakował? zapytał pan von Elze.

— Już go kupił a kupna zmienić nie można.

— A gdyby można?

— Niewiele zyskałby na tem; wszakże tylko piernik kupić może a piernik jest zawsze piernikiem.

— Nie, to za ostro! a więc kobiety i pierniki stoją na równi u pana? zawołała oburzona Hedda.

— Ach! sąsiadko, aby Bóg dał żeby moja przyszła żona wydawała mi się tak słodką jak dzieciakowi ów piernik.

Właściwe znaczenie téj rozmowy, przerażało Pawła i dla tego też umyślnie nadał jéj zwrot żartobliwy. By siebie i resztę towarzystwa na inne naprowadzić myśli, podał projekt uczczenia śpiewem piękności godziny i miejsca, a Hedda jakby przeczuwając co się działo w duszy młodzieńca, zanuciła jedną z tych słodkich, pełnych prostoty ludowych piosenek, ulubioną Pawła, która go zawsze dziwnie wzruszała, lub gdy ożywiony był i wesoły czyniła go spokojnym i zamyślonym. I dzisiaj równie spłoszyła z czoła jego cień troski, który tego ciepłego uroczego wieczora coraz go bardziéj otaczał. Czy to nie szaleństwo, myślał on w duszy, radość i boleści drugich tak brać do serca, by aż o własnem zapominać szczęściu? I wzrok jego spoczął na uroczéj śpiewaczce, a wdzięk jéj postaci zawładnął nim czarodziejską siłą. Jeżeli kiedy to teraz patrząc na Heddę, uwierzył w idealne zdanie Schillera „Duch sobie ciało buduje.“ Jéj ładna rozumna twarzyczka jaśniała wewnętrznem życiem, z każdego jéj ruchu nowy wypływał powab, tyle uroku mieściło się w jéj dźwięcznym czystym głosie i w tym swawolnym a melodyjnym śmiechu.

Przypomniał sobie znajome niewieście i dziewczęce twarze i musiał przyznać, że z nich najinteligentniejsza nawet miała coś martwego i woskowego, w porównaniu z pełnem duszy obliczem Heddy: w obec niéj nawet i Klementyna czyniła wrażenie pięknego na pół przebudzonego posągu. Wydawało się, że tutaj duch odniósł nad ciałem zwycięztwo, a myśl ta mistycznym prawie zachwytem napełniała wzniosłą duszę Pawła, i zapewne nie byłby zbyt zadziwiony, gdyby nagle dziewczę na wysokim stojące kamieniu zamieniło się w jasnego anioła, i wzlatując coraz wyżéj, zniknęło wreszcie w ciemnym niebios błękicie. Tymczasem wierzchołki jodeł purpurowém światłem płonąć zaczęły, co było znakiem że słońce skłaniało się ku zachodowi. Nadszedł młody sternik by rzeczy znieść do łodzi, i zawiadomił że pana inspektora dotąd nie widać, a pogoda najzupełniéj sprzyja, gdyż najmniejszy nawet nie porusza się wietrzyk.

Powstali i czas jakiś szli lasem jodłowym, aż na sam szczyt wybrzeża; tu u stóp ich leżało nieskończone morze spokojne i gładkie jak jezioro, a nad niem na krańcu horyzontu zwieszała się szkarłatna tarcza słońca, zanurzając się zwolna w niezgłębione wód tonie, a stada ptaków krążyły wśród różowego blasku zachodniego nieba.

Paweł i Hedda pierwsi wyszli z lasu, urok, który otaczał ją w ciemnościach, spotęgował się jeszcze przy ostatnich dnia blaskach, stanęła i osłaniając ręką czoło zapatrzyła się w słońce, zwolna w morzu tonące. Niebawem zawołała: kto z nas prędzéj zbiegnie do łodzi? i nie czekając na odpowiedź, lekka jak gazella, puściła się ze stromego wybrzeża. Paweł pośpieszył za nią i dogonił ją wkrótce, i czy droga wydała się jéj gorszą i niebezpieczną, nagle wyciągnęła dłoń ku niemu, i tak wziąwszy się za ręce, biegli razem aż zatrzymali się dopiero tuż przy saméj wodzie, na gładkim zwirze wybrzeża. On nie puszczał jéj ręki i wpatrywał się coraz bardziéj w jéj niezgłębiene oczy.

— Sąsiedzie, dla czego tak badawczo wpatrujesz się we mnie?

— Bo chciałbym raz już wiedzieć, jakiéj barwy są oczy pani?

— Jakto! jeszcze pan tego nie wiesz? wszakże są zielone.

— Rzeczywiście! ciemno zielone z czarną źrenicą.

— Nieinaczéj. Takie stosowne są tylko dla córki żeglarza.

Bez najmniejszego zmieszania z jego ręki wysunęła dłoń swoją i zwróciła się ku łodzi, do któréj zbliżała się teraz druga para, schodząc mniéj pochyłą stroną.

— No cóż Rickmanie, czy powrócimy szczęśliwie? spytała Klementyna starego sternika.

Stary spojrzał na niebo, na zwisłą flagę u masztu i odrzekł: „zanim zniknie brzask wieczorny, mamy tyle czasu co potrzeba, pani inspektorowo.“

(d. c. n.)

Korespondencya Zagraniczna.

ze Lwowa.

Corocznie w marcu odbywa się walne zgromadzenie stowarzyszenia pracy kobiet. Zawsze podawałem krótkie sprawozdanie o tem, i jeżeli sobie Czytelniczki przypomną zawsze wyrażałem obawę, że egzystencya tego pożytecznego stowarzyszenia, nie posiada niestety więcéj warunków trwałości niż byt tylu innych stowarzyszeń, które dotąd walczyły daremnie z obojętnością publiczności i w końcu upaść musiały. Sprawozdanie odczytane na tegorocznem walnem zgromadzeniu stowarzyszenia pracy kobiet, wykazuje już nietylko stopniowy upadek, lecz nawet zachwianie saméj podstawy egzystencyi. Oto główne ustępy tego sprawozdania, które rzucają światło ponure na przyszłość stowarzyszenia.

Już w kwietniu r. z. przestała istnieć pracownia krawiecka a chwilowe utrzymanie pracowni szycia białego, uważać należy raczéj za rezultat prywatnéj ofiarności kilkunastu członków zwyczajnych, tudzież ofiarności bar. Heydlowéj, która raczyła na ten cel złożyć 100 zł. W pracowniach stowarzyszenia są same niedobory, które zarząd usprawiedliwia w sposób następujący: Pracownie zakładu pobierają za robotę pewien procent od sztuki; pozostała reszta wynagrodzenia stron, pokryć powinna opłatę kierowniczki i maszynistki, co dziś np. w pracowni szycia białego wynosi przeszło 50 zł. miesięcznie. Rzecz zatem jasna, że przy znacznym napływie roboty, procent ten mógłby wystarczyć na pokrycie wymienionych kosztów, ale wprost niemożliwem było to w pracowni krawieckiéj, która w ostatnich miesiącach swego istnienia ledwie trzy robotnice zająć mogła. Rada zawiadowcza zwinęła tedy pracownię krawiecką i chciała zwinąć także pracownie szycia białego, ale zapobiegło temu kilkunastu członków stowarzyszenia, którzy swe udziały ofiarowali na pokrycie niedoboru w r. 1878. Po przeprowadzenia téj uchwały skierował zarząd wszystkie swe siły ku wzorowemu urządzeniu istniejących już szkół przemysłowych: szycia białego, wyrobu ręcznych frendzli, krawiectwa i robót pończoszkowych. Udział członków, stanowiący główną podstawę utrzymania zakładu, zmniejsza się z każdym rokiem. I tak np. wynosił w r. 1874 2068 zł., w r. 1877 tylko 989 zł. a w r. z. 816 zł. Stowarzyszenie liczyło w r. z. już tylko 66 członków honorowych, a 84 zwyczajnych, razem tedy 150 członków. Dziwić się zatem niemożna, że wśród takich okoliczności fundusz nagromadzony zeszczuplał. Musiano się ograniczyć znacznie, zniesiono kurs szkoły handlowéj, na którą ministerstwo odmówiło już subwencyi, przyrzekając pomoc późniejszą tylko w takim razie, jeżeli szkoła handlowa zostanie wzorowo urządzoną i oddaną pod nadzór krajowych władz szkolnych. Przechodząc do szczegółów, wspomina sprawozdanie, że w pracowni szycia białego, pod kierownictwem p. Szczurkowskiéj, pracowało w ciągu r. z. ogółem 39 robotnic, które wykonały ogółem 223 tuzinów rozmaitych robót, co przyniosło 2508 zł. dochodu, a kosztowało 2760 zł. tak, że niedobór w tym dziale wynosił 250 zł. Do szkoły szycia białego uczęszczało ogółem 101 uczennic. W szkole krawieckiéj udzielała w 2 półroczu nauki p. Helena Komorowska. Dochód w tej szkole wynosił 274 zł. rozchód 346 zł., dołożyć więc musiano 71 zł. Szkoła robót pończoszkowych przeszła z końcem sierpnia r. z. na koszt stowarzyszenia, ministerstwo bowiem odmówiło jéj nadal subwencyi i pozostawiło tylko na rok 6 maszyn do użytku. Stowarzyszenie musi więc z własnych zasobów dawać 300 zł. na utrzymanie nauczycielki, czego wpłaty uczennic pokryć nie mogą. Uczennic było 11, które wykończyły 231 rozmaitych przedmiotów pończoszkowych. Dochód w tym dziale wynosił ogółem 554, rozchód 560 zł. W subwencyi otrzymało stowarzyszenie od sejmu 300, od kasy oszczędności 400, od Izby handlowéj 100, od bar. Heydlowéj 100 zł.

Niezawodnie słusznie utrzymuje zarząd, że stowarzyszenie z takiemi celami jak praca kobiet zasługuje na publiczne poparcie, ale z drugiéj strony i to pewna, że fundusze publiczne mogą iść z pomocą tylko tam, gdzie dobry cel łączy się z warunkami rozwoju a przynajmniej dłuższéj egzystencyi. Stowarzyszenie pracy kobiet z początku rozwijało się pięknie, publiczność udziałami pieniężnemi i robotą spieszyła mu w pomoc, w miarę jednak jak stowarzyszenie zamiast wzrastać zaczęło tracić roboty i członków, w miarę jak sprawozdania doroczne zamiast wykazywać, jeżeli już nie wzrost z nadwyżką dochodów, to przynajmniéj równowagę, zaczęło coraz jaskrawiéj odsłaniać ubytek i upadek w obu kierunkach, pomoc publiczna musiała uledz zakwestyonowaniu. Niech dziś stowarzyszenie odżyje napowrót i dowiedzie, że podźwignęło się z chwilowego upadku, pewnie otworzą się napowrót jego dawne źródła dochodu z funduszów publicznych. To też bardzo trafną a dla stowarzyszenia pożyteczną jest myśl Namiestnikowéj hr. Potockiéj, która na ostatniem zgromadzeniu podniosła głównie potrzebę powiększenia klienteli stowarzyszenia. Pani Namiestnikowa wydała w tym duchu odezwę do publiczności, w któréj prosi nie o jałmużnę dla stowarzyszenia, choć jego cel dobroczynny nawet taki krok usprawiedliwiałby zupełnie, lecz o sposobność do zarobku, o liczne zamówienia dla pracowni, które dla braku roboty walczą ciągle z niedoborami i długo téj walki nie zniosą. Jeżeli ta odezwa nie odniesie pożądanego skutku, to stowarzyszenie pracy kobiet niedługo wytrwa w ciężkiéj walce o byt.

W niemieckich uniwersytetach kilku już Polaków zajmuje katedry profesorskie i wszyscy są cenieni w świecie naukowym. Docent z polskiem nazwiskiem, dobijający się uznania w niemieckim świecie naukowym ma zadanie arcy trudne, bo musi przede wszystkiem zwalczać głęboko wkorzenione uprzedzenie. Kto z takiéj trudnéj i nierównéj walki wy-

szedłszy, ciężko wymuszając sobie niejako uznanie pracami naukowemi, o tem można już śmiało powiedzieć, że rówieśników swoich kolegów niemieckiéj narodowości przewyższa niepospolitym talentem albo niezwykłą erudycyą. W ostatnich latach przybył nowy docent Polak, dr. Ludwik Gumplowicz, wykładający prawo publiczne w Grazu. Przed objęciem katedry w uniwersytecie niemieckim dr. Gumplowicz, znany już był w polskim świecie naukowym z prac swoich (ustawodawstwo polskie o żydach) i jako redaktor wydawanego przed kilku laty w Krakowie dziennika *Kraj*. Jako dziennikarz i pisarz d-r Gumplowicz zostawił po sobie u nas dobrą pamięć, a wkrótce po objęciu katedry uniwersyteckiéj wystąpił przed publicznością z kilku dziełami niemieckiemi (Państwo i rasa, Filozoficzne prawo publiczne), które tak dowodami rozległéj erudycyi jak i uderzającą oryginalnością poglądów i pomysłów, zwróciły na siebie uwagę świata uczonego. Krytyka niemiecka wydała wprawdzie o tych dziełach, zwłaszcza co do nowości poglądów o genezie państwa i prawa, sąd ostry, ale tego zaprzeczyć nie mogła, że autor nie jest kompilatorem jak tylu innych głośniejszych może od niego docentów i profesorów niemieckich, lecz samodzielnym badaczem. Nie możemy tu wchodzić w treść dzieł powyższych, tyle jednak pozwolę sobie przytoczyć, że dr. Gumplowicz wystąpił w obronie zasady: siła przed prawem, dowodząc z historyi i filozoficznemi rozumowaniami, że siła wytwarzała i wytwarzać będzie państwa i prawo, że zasada powyższa nie jest bynajmniéj dewizą księcia Bismarcka, lecz odwiecznem prawidłem dziejów i rozwoju ludzkości. Mało kto przyzna się do téj teoryi, u nas nikt jej nie przyklaśnie, ale jeżeli chodzi o ocenienie naukowéj wartości pracy, to nie można głównie zważać na to, czy teorya nowa jest sympatyczną. Z wywodami i konkluzyami naukowemi obu dzieł powyżéj wskazanych, pewnie się nie zgodzimy, ale to nie osłabia twierdzenia, że oba dzieła jako dowody uczoności i samoistnego badania przynoszą zaszczyt autorowi.

Obecnie wystąpił dr. Gumplowicz z nową pracą naukową większych rozmiarów, także po niemiecku napisaną. Książka ma tytuł: Prawa narodowości i języków w Austryi i Węgrzech, ale treścią wychodzi po za ramy tego tytułu, gdyż traktuje temat narodowości w ogóle a nadto w dodatkowych dwóch rozdziałach autor polemizując z krytykami dwóch poprzednich dzieł swoich, znowu się rozpisuje o powstawaniu państw i prawa. Życzyćby sobie należało, aby przynajmniéj to dzieło dr. Gumplowicza wydane zostało w polskim przekładzie jednak bez owych dodatkowych rozdziałów. Ważna kwestya: co to jest narodowość: na czem polega jéj pojęcie, istota i główne znamiona, jakie są jej prawa oraz prawa języków w państwach różnoplemiennych, zostały przez dr. Gumplowicza rozwiązane gruntownie, dokładnie i sprawiedliwie. Szczególnie co do polskiéj narodowości w Austryi dr. Gumplowicz wystąpił ze zdaniami, którem przyklasnąć należy. Językowi polskiemu, jego przeszłości i literaturze oddał dr. Gumplowicz hołd zasłużony i oświadcza, że wbrew tendencyjnym żalom i narzekaniom, nauka jeżeli nie zyskała na spolszczeniu wykładów w uniwersytetach galicyjskich, to pewnie nic na tem nie straciła. Trzeba uczcić odwagę autora w obronie prawdy, bo pewnie za to oświadczenie niejeden recenzent niemiecki z uprzedzeniem i niechęcią przystąpi do wydania sądu o całéj książce.

Dr. Gumplowicz stanowi bardzo piękny wyjątek w stwierdzonéj już niestety kilku głośnemi przykładami regule, że kto tylko z Galicyi przeniesie się do Wiednia lub Niemiec w ogóle i szuka stanowiska w świecie dziennikarskim lub literackim, zaczyna karyerę od tego, że pisze o nas niestworzone rzeczy, że oszczerstwa nawet rzuca na kraj nasz i jego kosztem okłamuje publiczność zagraniczną, która bierze to wszystko za dobrą monetę nie chcąc lub nie mogąc tego sprawdzać szczegółowo z lepszych źródeł. I za to należy się dr. Gumplowiczowi wszelkie uznanie, że postąpił sobie całkiem inaczéj.

(*d. n.*)

Kronika Paryzka.

(Dalszy ciąg).

Cześć oddawaną ogniowi i ciałom niebieskim, uważano długi czas za wyższy stopień rozwoju religijnego, przedstawiającego już pewną stronę duchową. Wedle zdania niektórych uczonych, jak naprzykład Dupuy, cześć oddawana słońcu i gwiazdom była religią zasadniczą i z niéj wypłynęły wszystkie insze, skoro umysł ludzki doszedł do koniecznego stopnia rozwoju. Mylne to bardzo przekonanie: cześć bowiem gwiazdom oddawaną była i jest często przez plemiona najbardziéj dzikie niezdolne do przyjęcia najmniejszéj cywilizacyi. Obok słońca otaczają oni największem uszanowaniem rozmaite talizmany czyli fetysze najniższego rzędu, mające im zapewnić pomyślność. Cześć oddawana gwiazdom jest współczesną z najgrubszem bałwochwalstwem i wcale nie oznacza wyższego rozwoju ludzkości.

Najbardziéj jednak rzeczą zadziwiającą jest ubóstwienie wyrobów ręki ludzkiéj, co rzeczywiście zdaje się rzeczą niepojętą. Wedle świadectwa Herodota, Scytowie czcili szablę żelazną, składając jéj w dani różne przedmioty drogocenne. Laski ozdobne, sztaby żelaza, półmiski srebrne u innych pokoleń uznawane były za bożyszcza doznając ogólnego poszanowania.

Patrząc na te objawy bez głębszego wniknięcia w ich znaczenie, z podziwieniem patrzymy na późniejszy rozwój religijny, skoro w pierwotnych pojęciach ludzkości nie dostrzegamy jego zarysu. Formy mogą ulegać przekształceniu, idea jednak religijna powinna się przedstawiać niezmiennie w kolei wieków, choćby nawet pod postacią największych przesądów.

Przy bliższem zbadaniu przedmiotu dostrzeżemy takie a nie insze prawidła religijnego rozwoju.

Noszenie naprzykład rozmaitych przedmiotów martwych, mających sprowadzić pomyślność lub nadać władzę nadprzyrodzoną, nazywane fetyszyzmem, było i jest w użyciu u wielu pokoleń ludów dzikich, trzymających się wiernie wpojonych w ich umysły wyobrażeń. Fetysz jednak czyli ów przedmiot martwy, nie jest uważanym sam przez się za bożyszcze, ale za pewnego rodzaju pośrednika z istotą bezporównania potężniejszą, rządzącą losami ludzkiemi. Jeżeli bieg rzeczy jest nieprzyjaznym dla dzikiego, to odrzuca z pogardą posiadany talizman depcząc go, bijąc, kalając w błocie, jako przedmiot niegodny poszanowania. Można dostrzedz podobne objawy i u ludów ze względną nawet cywilizacyą. W Chinach naprzykład pomiędzy niższemi warstwami społecznemi, rozmaite wyroby rzeźbiarskie uważane są za bożyszcza, i zanoszone są do nich gorące modlitwy aby zjednały pomyślny obrót wypadków. Jeżeli jednak, jak to często bywa w sprawach ludzkich, życzenia proszących nie są spełnione, w takim razie następuje nagła zmiana w ich postępowaniu względem przedmiotów otaczanych dotychczas czcią największą.

— Psie niegodziwy! mówią oni do bożyszcza, postępowaliśmy względem ciebie z największą szlachetnością, pomieściliśmy cię we wspaniałéj świątyni, ozdobili złotem, nie żałowaliśmy kadzideł na twoją cześć, ty zaś próżniaku niegodziwy odpłacasz się największą niewdzięcznością nie chcąc nic dla nas zrobić.

Po takiéj przemowie przywiązują sznury do bałwana kamiennego, zrucają z podstawy, ciągną po różnych miejscach napełnionych nieczystością, aby go ukarać za daremne wydatki.

Jeżeli jednak w trakcie tego spotka zapalczywego mściciela jakaś niespodziewana pomyślność, natychmist bożyszcze ciągnione po błocie odnosi do świątyni, stawia na dawnem miejscu, oczyszcza z błota przemawiając:

— Byliśmy trochę za prędcy w naszem postępowaniu, ale ty byłeś zanadto powolny w przyznaniu nam tego o cośmy cię prosili. Samowolnie wywołałeś przykre dla siebie następstwa. Co się jednak stało, to się nie odstanie, jeżeli zapomnisz przeszłości, to bez względu na ciężkie czasy każemy cię pozłocić na nowo.

Jeden z Murzynów mówił w następujący sposób do Bosmana:

— Skoro chcemy przedsięwziąść coś ważniejszego, staramy się przedewszystkiem znaleźć bożka chcącego nas wesprzéć. W tym celu obieramy pierwszy lepszy przedmiot jaki napotkamy bez względu na jego rodzaj: czasami psa, kota lub jakie inne zwierzę, to znowu przedmiot nieżyjący kamień lub nawet kawałek drzewa nadając mu charakter nadprzyrodzony. Bezzwłocznie składamy mu ofiary opowiadając o co nam chdzi, obiecując w zamian za udzielone nam poparcie uważać go stale za bożka. Jeżeli usiłowania nasze uwieńczone są powodzeniem, to dotrzymujemy słowa objawiając mu cześć niewzruszoną; w razie przeciwnym odrzucamy go z pogardą obierając innego opiekuna. Dawne bożyszcze zostaje psem, kotem lub kamieniem, inne zaś stworzenia czasowo przynajmniéj wyniesione są na stanowisko naczelne. Tym sposobem tworzymy sobie bożków wedle upodobania, zmieniając ich dowolnie i otaczając kolejno czcią lub pogardą.

Wypisany ustęp można znaleźć w dziele Lubocka pod tytułem les Origines de la civilisation. Wskazuje on nawet u ludów najmniéj rozwiniętych pewnego rodzaju pojęcie istoty wyższéj, nadprzyrodzonéj, duchowéj, nieujętéj przeto i niewytłomaczonéj. Dzięki człowiek przerażony jéj potęgą, jaką spotyka na każdym kroku, niespokojny o los własny, radby pozyskać jéj opiekę, a nie umiejąc nadać formy odpowiedniejszéj, w sposób gruby i zmysłowy wyraża swoje pojęcia.

Cześć oddawaną zwierzętom, roślinom, kwiatom, lub ciałom niebieskim, starano się tłomaczyć przez pojęcie wszechświata, jako jednostki ożywionéj wspólną duszą. Człowiek sam czerpał życie swe ze wspólnego ogniska, co ostatecznie jest wyobrażeniem panteistycznem, wytworzonem przez subtelne umysły filozofów, ale przechodzącem zakres możliwości umysłowéj dzikich ludów, nie mogących się wznieść do pojęć tak dalece oderwanych.

Poczucie osobistości własnéj nie jest jeszcze tak jasno zarysowanem, aby wedle własnego wzoru kształtować jednostkę ginącą w nieskończoności.

Porównywanie człowieka pierwotnego do dziecięcia nie jest bardzo szczęśliwem, chociaż w rozumowaniach nadużyto wielokrotnie téj podstawy zapatrywania.

Dziecię zginęłoby niewątpliwie żyjąc w pośród warunków z których człowiek pierwotny wyszedł

zwycięzko. Od pierwszego pojawienia się na kuli ziemskiéj, potrzebował on staczać zaciętą walkę ze zwierzętami godzącemi na jego życie.

Potrzeba było w tym celu poznać dobrze nieprzyjaciół drapieżnych, szukać środków ochronnych przeciwko ich napadom, przyspasabiać broń, użyć nieraz podstępu i przebiegłości aby pokonać grożące niebezpieczeństwo. Jednem słowem, od pierwszego pojawienia się człowieka, rozum czyli siła moralna stanęła do walki z siłą fizyczną, wypełniając swoim przebiegiem cały dotychczasowy rozwój ludzkości.

Człowiek zatem pierwotny poznawszy swoją osobistość i odrębność przedmiotów zewnętrznych, dostrzegł jednocześnie swoją wyższość nad niemi: w potrzebie umiał pokonać najpotężniejszego zwierza, różnego zaś rodzaju rośliny i inne twory natury posługiwały mu do użytku. Człowiek zatem pierwotny zajęty głównie swoją osobistością, którą z trudnością ochraniał od uszkodzenia, nie miał czasu do rozmyślań metafizycznych o wspólnéj duszy wszechświata, jako zagrożony ustawicznie przez różnorodnych nieprzyjaciół. Walki ustawiczne zniewalały go do poznania istot czychających na jego życie; z podziwem więc patrzył na siłę, zręczność i odwagę tygrysa, zdolnego pokonać nawet słonia, z drugiéj strony zastanawiał go wąż swoją tajemniczością, samą siłą splotów duszącego lub jednem dotknięciem zęba zabijającego swe ofiary; podstęp i chytrość właściwe tego rodzaju płazom, wyróżniały go z pośród innych tworów, a zrucanie coroczne skóry i ukazywanie się w odmłodzonéj niejako postaci, były w pewnym względzie obrazem nieśmiertelności. Cześć oddawana drzewom, mogła być wywołana przez wrażenie jakiego człowiek doznaje znajdując się w pośród wielkiego lasu. Wedle zdania jednego z filozofów starożytnych, wspaniałe okazy roślinne, szum stuletnich drzew, uspasabia człowieka do uczuć religijnych uwydatniając niejako obecność Boga i jego potęgę. Nietylko jednak przestrach ale i wdzięczność możnaby zaliczyć do oddawania czci różnym tworom natury; na poparcie tego zdania mogłoby posłużyć ubóstwianie konia, wołu, ichnumona, drzewa oliwnego lub dębu żywiącego liczne stada wieprzy, będących najcelniejszem bogactwem pierwotnych ludzi.

Obawa jednak lub wdzięczność nie tłomaczą jeszcze wszelkich objawów religijnych tego rodzaju; są bowiem istoty, jak naprzykład żółwie, nie wzbudzające uczuć podobnych, a mimo tego będących przedmiotem czci dla różnych plemion amerykańskich. Oprócz tego znajdują się istoty będące prostymi utworami imaginacyi uważane jednak za bożków. Do tego rzędu można zaliczyć węże i woły latające, ciało zwierzęce z głowami ludzi i naodwrót ciała ludzkie z głowami zwierząt. Podobne objawy nie mogą być bez przyczyny, najbujniejsza bowiem fantazya ludzka opartą jest koniecznie na pewnych danych rzeczywistych.

Quinet tłomaczy twory a raczéj potwory myśli ludzkiéj, wspomnieniem o zwierzętach przedpotopowych, z każdem nowem pokoleniem ludzkiem przybierających coraz dziwniejszą i bardziéj przerażającą postać. Tylor w historyi pierwotnéj rodu ludzkiego, popiera tę myśl upatrując w legendzie indyjskiéj o żółwiu unoszącym na swéj skorupie kulę ziemską, wspomnienie o przedpotopowym żółwiu z góry Himalaja, wprowadzającym w podziw swemi rozmiarami olbrzymiemi. Hypoteza ta jednak nie tłomaczy wszelkich objawów religijnych pierwotnych ludów; prócz tego stawia jako pewnik nieprzerwany ciąg tradycyi plemion żyjących przed potopem i po potopie, co jeszcze nie jest stwierdzonem naukowo; jednem słowem opisaną teoryą niepodobna uważać jako rozwiązującą zagadkę dziejową ostatecznie, co prawdopodobnie nakłoniło pana Spencera do dalszéj pracy w tym kierunku z któréj zrobimy krótkie sprawozdanie.

(*d. c. n.*)

Przegląd literacki.

O cześć ojcowską, powieść Walerego Przyborowskiego.

Nie jest to we właściwém znaczeniu powieść ale tak zwana nowella, mniéj wymagająca a nieraz trudniejsza od niéj do napisania. Autor jéj p. W. Przyborowski należy do młodych pisarzy ale nie do tak zwanych pozytywistów warszawskich. Stara wiara ojców naszych jest jego wiarą, kocha ich, szanuje i poważa, nic więc dziwnego że cześć dla pamięci ojca obrał za temat do swojéj pracy i przeprowadził go jeżeli nie bez pewnych, głównie w budowie, uchybień, to zawsze z widocznym talentem i z owém serdeczném poczuciem, że nie dukat jest wszystkiém na świecie.

Z zarzutu musimy się usprawiedliwić, nietyle dla Czytelniczek naszych jak dla Autora, co bez korzyści dla niego zapewne nie pozostanie. Słowa prawdy poczciwéj zwykle stają się zachętą, a zawsze uczą tego co chce być nauczonym. Pan Przyborowski nie wątpimy że jest jednym z takich: zarozumiałość i pewność siebie są towarzyszkami tylko głów burzących wszystko a nic nie stawiających, przeszłość uważających za mrzonkę, przyszłość za bzdurstwo, a obecność za raj wprawdzie pełny pokrzyw i ostu ale mający i piękne róże o wdzięku i o brzęku, których zdobycie bez zbytniego pokłucia się i poparzenia, jest całą umiejętnością życia, jego celem i przeznaczeniem. W opowiadaniu *O cześć ojcowską*, już sam pierwszy zawiązek jest nienaturalny. Czyż można przypuścić, aby człowiek niewinny, posądzony o morderstwo przyjaciela, uwolniony od odpowiedzialności jedynie dla braku dowodów, zniósł to spokojnie i nie starał się wszelkiemi sposobami wykazać niesprawiedliwość jaka go dotknęła. Biorąc miarę z własnego przekonania, zdaje się że powinien był poruszyć świat cały, niebo i piekło, ziemię, wodę i powietrze, krzyczéć, domagać się, niepokoić, ażby wreszcie prawda wyszła na wierzch i pokazała go czystym i bez najmniejszéj skazy. Gdyby poszlaki stawiane w oskarżeniu, nie dały się usunąć na drodze urzędowéj, to zawsze opinia stanęłaby po jego stronie, i współczuciem wynagrodziła omyłkę sprawiedliwości. Tymczasem o takiém szamotaniu się niewinnie posądzonego, w opowiadaniu nie ma ani słowa: biedak pochylił głowę, spieniężył mienie, z małemi resztkami zmarnowanéj fortuny uciekł do Warszawy, i męcząc się, gryząc, zmarł w niéj wreszcie zostawiając żonie i synowi fundusz wynoszący zaledwie trzydzieści tysięcy złotych. Opinia czasami myli się i bywa niesprawiedliwą, ale żeby do tego stopnia zaślepiła się, aby śniegu nie nazwała białym a sadzy czarnemi, to przypuścić prawie niepodobna. Tu jednak zaszedł taki wypadek: nieszczęśliwy Ignacy Żeliga posądzony o zabójstwo swego przyjaciela i o zabor wiezionych przez niego 40,000 dukatów, pod naciskiem nieprzychylnéj mu opinii trawi się i ginie. W śledztwie nic na jego niekorzyść nie wykryto: dowiedzionem tylko zostało, czego nikt nie zaprzeczał, że zamordowany Baranowski w powrocie do domu z nieszczęśliwéj wyprawy r. 1812 chory i wycieńczony podróżą przybył do Żeligi, i że tam od niego odebrał złożony depozyt w obrączkowém złocie w dwóch workach opieczętowanych. Kiedy przyjaciele mieli się rozłączyć życząc sobie dobréj nocy, przybył jakiś nieznajomy człowiek w podartym ułańskim płaszczu i oddał list bezimienny Baranowskiemu, z zawiadomieniem, że na wieś jego w pobliżu położoną napadli maruderzy francuzcy, i że natychmiast przybywać winien na ratunek swoich synów.

Była to nikczemna zasadzka, która na nieszczęście udała się. Baranowski pomimo ogromnego znużenia, nocnéj pory i zawiei śnieżnéj, siada na konia, bierze pistolety, depozyt drogocenny i rusza do domu wśród nocy ciemnéj i niezmiernie burzliwéj. Czychający nań morderca dokonywa swego: celnym wystrzałem zabija jadącego, pieniądze zabiera a trupa zostawia na drodze.

Otóż wszystkie te szczegóły nie mają najmniejszego prawdopodobieństwa. Przede wszystkiém Baranowski mając wieś własną nie potrzebował dla skarbu swego szukać skrytki u sąsiada choćby nawet przyjaciela. Gdzie go przechowywał przed kampanią, tam go mógł pozostawić udając się na wojnę. Ale o to mniejsza. Przypuśćmy że mogło to stać się i stało, to czyż podobna uwierzyć, aby człowiek- chory i znużony, nie mogący już nawet dopchać się do domu w pobliżu znajdującego się, zaraz po przybyciu pod dach ochronny pomyślał o odebraniu dwóch worów złota i na pierwsze wezwanie bezimiennego listu, sam, bez żadnego towarzystwa, ruszył w noc ciemną i burzliwą na pomoc napadniętéj rodzinie. Gdyby jednak mógł ją dać nie siłą swego osłabionego ramienia ale powagą szlif i munduru, to pocóż zabierał z sobą wory ze złotem? Czyż sam cel wyprawy nie powinien był go od tego odwieść? Nadto, Baranowskiego przybycie do Żeligi, było zupełnie niespodziewane: w wędrówce konno i to po rozsypce wojennéj, terminu powrotu trudno oznaczyć już nie na godzinę, jak to bywa dziś przy kolejach żelaznych, ale nawet na dzień a nawet na tydzień. Powrót więc Baranowskiego był zupełną niespodzianką, dla Żeligi zaś podwójną jako dla sąsiada o milę tylko mieszkającego od dziedzicznéj wioski Baranowskiego. Przybycie jego nastąpiło o godzinie 10 wieczorem dnia 30 listopada, a zatem pod czas nocy niezmiernie długiéj, w porze w któréj po wsiach zawieszona wszelka czynność, wszystkich skłania do spoczynku i zgaszenia światła.

Jakimże więc sposobem, morderca mieszkający o trzy i pół wiorsty od Żeligi, mógł się dowiedzieć o przyjeździe Baranowskiego, ułożyć zaraz plan działania, wywabić go z pod gościnnego dachu, zaczaić się na drodze, strzałem celnym zamordować i zabrać wory z dukatami? Wszystko to zapewne stało się zaraz po północy, boć znużony podróżą, głodem, niewywczasem, a przytem nieco chory, do długiéj gawędy choćby z przyjacielem, nie miał zapewne ani siły ani ochoty. Dwie zatem godziny a choćby i więcéj, to trochę zamało na powzięcie, przeprowadzenie i wykonanie tak piekielnie ułożonego planu. Wreszcie, jak morderca mógł przypuścić, że Baranowski zabierze z sobą złoto gdy go w liście bezimiennym nastraszył maruderami? Jak mógł być pewnym, że morderstwo przyniesie mu spodziewaną korzyść, że je dokona w zasadzce strzałem celnym wśród nocy ciemnéj i burzliwéj?

Wszystko to jednak choć tak nieprawdopodobne, spełniło się co do joty: strzał nie chybił, wory ze złotem nie zawiodły, morderca zbogacił się i przy śledztwie zdołał podejrzenie rzucić na niewinnego Żeligę, i zabić w opinii publicznéj.

To troszkę za wiele. Ale był świadek mimowolny tego ochydnego czynu, młodzieniec zabłąkany w powrocie z polowania. Nad wieczorem, a więc

o godzinie czwartéj, zaskoczony zawieją, po parogodzinném błądzeniu usiadł pod krzakiem. Mogła więc być wówczas najwyżéj godzina siódma, a wykonanie zbrodni, już co najmniéj w pięć lub siedm godzin później nastąpiło. Młodzieniec owinięty dobrym kożuchem, że strzelbą na kolanach, obsypany śniegiem, marzy i rozkoszuje się wspaniałym widokiem szalejącéj burzy. Autor widać zupełnie nie zna okropności zawiei śnieżnéj, kiedy nieszczęśliwy wędrowiec po daremnych usiłowaniach wyczerpujących wszystkie jego siły, siądzie pod krzakiem i nie wiedząc co daléj z sobą robić zda się na wolę Opatrzności. Rozpacz ogarnia go wówczas, śmierć rozwija ponure obrazy, marzenia pierzchają, rzeczywistość straszna wszystko pochłania, i nie myśląc wcale o wspaniałości szalejącéj burzy przywołuje na pomoc modlitwę, rachunek sumienia i żal za winy całego życia. Młodzieniec jednak unosi się nad rykiem wichru, nad mroczną białością nocy i puszczy, i zamiast pod wpływem trudu, głodu i zimna usnąć na wieki, jak to zwykle się zdarza, on w marzeniach bez żadnéj dla siebie szkody, przepędza tyle godzin czasu i zostaje świadkiem popełnionego morderstwa.

Mimo tego przecież i pomimo znajomości mordercy, którego poznał przy spaleniu prochu na panewce w czasie danego strzału do Baranowskiego, młodzieniec milczy jak skała, nie wydaje zbrodniarza i zbrodnia pozostaje straszną tajemnicą chociaż śledztwo zaraz rano rozwinięto. Przypuścić godzi się, że młodzieniec oszołomiony strasznym widokiem, stracił przytomność i w pierwszéj chwili nie wiedział co zrobić, ale sama groza położenia nakazywała mu biedz zaraz za zbrodniarzem, przywołać ludzi, wpaść do jego mieszkania i zebrać jak najwięcéj dowodów morderstwa, o co nie byłoby tak trudno zważywszy, że worki ze złotem dla braku czasu nie mogły być jeszcze ukryte bez możności ich znalezienia, że koń zabitego na którym powrócił do domu morderca choćby puszczony luzem, musiał się gdzieś przy budynkach znajdować, i że samo pomieszanie mordercy tak z dokonanego czynu jak i wykrycia jego natychmiastowego, wieleby się do odsłonienia zbrodni przyczyniło.

Autor inaczéj rzecz poprowadził i młodzieńcowi skrępował usta. Śledztwo rzuca podejrzenie na przyjaciela zabitego, a on milczy: w liście bezimiennym który zmusił do wyjazdu Baranowskiego, Żeliga poznaje umyślnie zmienione pismo mordercy, młodzieniec nie robi żadnego zeznania na korzyść przypuszczenia: sąd uwalnia Żeligę dla braku jedynie dowodów, świadek ciągle milczy i to tak uporczywie, że ze swéj tajemnicy nie zwierza się przed nikim. Czyż to jest podobném? Być świadkiem takiéj szkarady i z odebraném wrażeniem niczem i nigdy niedającém się zatrzéć, nie podzielić się z kimś choćby pod największym sekretem, to jest przeciwne naturze ludzkiéj. Milczenia żadne tu względy nie usprawiedliwiają, jedno tylko wspólnictwo, a młodzieniec nim nie był. Sekret wydany choćby pod zaklęciem milczenia, wnetby stał się sekretem całéj okolicy, bo zbrodniarz był znany powszechnie i dość szanowany, sprawę na nowo podniósł i choćby zbrodniarza przypuśćmy prawnie nie ukarał, aleby go ochydził w całéj okolicy, a z Żeligi zdjął wszelkie podejrzenie.

Ale do tego nie potrzeba było i tak silnych dowodów. Baranowski w ową noc pamiętną wyjechał od Żeligi na własnym jedynym koniu, w stajni drugiego nie znajdowało się, jakimże więc sposobem Żeliga mógł dognać Baranowskiego pędzącego zapewne cwałem na ratunek rodziny, zabiedz mu drogę i wystrzałem zamordować? Już to samo najlepiéj świadczyło o niewinności Żeligi a jednak fakt ten pominięto, morderca został bogaczem a Żeliga potępionym.

Wprawdzie Autor to milczenie uporczywe świadka, zdaje się tłomaczyć przyszłém jego do świata i ludzi zupełnem zniechęceniem i dziwactwem do waryacyi posuniętem, ależ wówczas był młodzieńcem w całéj pełni sił swoich, marzącym, rozkoszującym się wściekłością szalejącéj burzy a więc wrażliwym, dla czegóż zatem widok mordu tak nikczemnie dokonanego, nie wpłynął na niego równie silnie i nie zmusił do jakiego czynu może nierozważnego ale zgodnego z jego nastrojem moralnym? Podobnych nieprawdopodobieństw więcéj jest w całem opowiadaniu, ale je pomijamy, dość na wytknięcia aby dać dowód jak wadną jest cała kompozycya.

Rozwinięcie jéj jednak nie jest bez talentu. Wprowadzone do niéj postacie pełne oryginalności, ale prawdziwe, wrą życiem i namiętnościami, w scenach przebija wiele dramatyczności i dla tego całe opowiadanie czyta się z zajęciem nie niknącém do ostatniéj kartki. Jeżeli do talentu jaki Autor bez zaprzeczenia posiada, przybędzie praca i gruntowne poznanie naszéj literatury, jesteśmy przekonani że p. W. Przyborowski wyrobi się na bardzo zdolnego powieściarza i zajmie wśród ich grona miejsce nieostatnie. Nad wadnością zaś kompozycyi dla tego tak rozpisaliśmy się, że prawdopodobieństwo w niéj jest głównym warunkiem dobrego opracowania całéj powieści. *J. K. G.*

Pogadanki o mądrych ludziach, dobrych książkach i pożytecznych wiadomościach przez Bożydara *Pasiecznika*. Warszawa 1879 r. w 8-ce str. 16. Cena 3 kop.

Na jakiéj drodze i jak postępują nasze szkółki wiejskie, dowiadujemy się od czasu do czasu z korespondencyi zamieszczanych po gazetach, za to w dostarczeniu ludowi zdrowych i tanich książek coraz większe robimy postępy. Ludzie dobréj woli, na drugim planie kładąc korzyści materyalne, wciąż wydają to abecadlniki bardzo tanie, to pożyteczne i przystępnie napisane książeczki, a *Zorza* jedyne u nas pismo peryodyczne ludowe, pomimo pewnych sarkań na nią, nie przestaje jak może i umie rozwijać swéj zawsze skutecznéj działalności.

Obecnie mamy przed sobą, drobniuchną jednoarkuszową książeczkę, ale też kosztującą tylko sześć groszy: wyszła ona nakładem p. Osieckiego, wydawcy *Błogosławieństwa na drogę życia.*

Pogadanki, wypracowane przez Bożydara Pasiecznika, (jak się domyślamy pseudonima) w pierwszéj swéj książeczce, zawierają ani mniéj ani więcéj jak całą prawie literaturę polską! I trzeba przyznać, że autor dosyć trafnie wywiązał się ze swojego zadania. Naturalnie, że podał wszystko w miniaturze, wymienił tylko znakomitszych pisarzy, za to nieco obszerniejsze podał wiadomości o książkach ludowych i o ich autorach. Że p. Bożydar Pasiecznik osnuł swoją pracę na tle religijnem, temu się nie dziwimy, bo do naszego ludu inaczéj przemawiać nie można i nie należy. Autor wskazawszy, jaki pożytek odnosi się z czytania książek, i jakie wybierać należy, ostrzega zarazem przed złemi książkami, które zamiast moralności i oświaty, szerzą zabobony i psują obyczaje.

Życzyćby należało, aby *Pogadanki* dla dobra naszego ludu tysiącami rozeszły się po kraju, do czego zapewne chętną przyłożą rękę wszyscy, którzy pojmują wielką doniosłość oświaty ludowéj.

Nie wdając się w szczegółową krytykę *Pogadanek*, żywimy nadzieję, iż autor w następnych pogadankach postara się jeszcze o więcéj przystępne tak pojedyncze wyrazy, jak i całe wyrażenia. *J. P.*

Opis Ryciny Kolorowéj.

Ubranie wizytowe. Spódnica i tunika są z czarnego indyjskiego kaszmiru, stanik zaś paletocikowy zapięty na piękne szmuklerskie guziki jest z pekinu i może być noszony również i do innych sukien. Przedni bryt sukni jest plisowany w całéj długości; boczne bryty tuniki podsunięte są pod brzegi przedniego a tylny ufałdowany wachlarzowo. Krawatka z muślinu indyjskiego z wszywką i koronką. Kapelusz z gładkiego czarnego tiulu, zdobny czarną koronką i ponsowemi różami.

Ubranie spacerowe. Kostjum z piaskowego beżu przybrany u dołu plisowaniem, kilka razy przemarszczoną bufką z nagłówkiem i ośmioma pliskami. Bronzowy pekin stanowi plisę przy tunice, kamizelkę i wykłady przy staniku. Tylny bryt tuniki przypięty guzikami na bokach. Kapelusz biały ryżowy zdobny białą materyą i długiem strusiem piórem, od spodu ma rondko podszyte aksamitem.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Panu E. Cha. Prenumerata półroczna wpisaną została do kontroli. Rubla oddano pozostałéj rodzinie po ś. p. Tegazzo.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, Марта 31 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

PRZYSIĘGA LADY ADELAJDY.

PRZEZ

mistres Henry Wood

przekład z Angielskiego

(Ciąg dalszy).

Herbert obejrzał się w około, wzrok jego zatrzymywał się na każdym z obecnych z wyrazem niepokoju graniczącego z przerażeniem: pan Blair był spokojny, obojętny, Lydney zimny i pełen godności jednak w twarzy jego można było wyczytać jakby tłumione uczucie litości, Bruff stał przed nim żywo wzruszony i zmieszany zarazem. w pełnéj uszanowania postawie, zdającéj się mówić: wiem że młodzieniec ten jest moim panem. Herbert objął to wszystko jednym rzutem oka; zaczął tracić zimną krew, czuł że straszne jakieś zagrażało mu niebezpieczeństwo, ale nie odgadywał jeszcze jego natury.

— Przejdźmy tam rzekł do pana Blair wskazując na salę jadalną, i skinął na Bruff'a aby drzwi otworzył. Spojrzawszy na swego byłego pana, Bruff dostrzegł na jego twarzy tenże sam wyraz przerażenia jaki uderzył go owéj nocy gdy go ujrzał wracającego z ruin kaplicy.

Gdy drzwi sali zamknęły się za nimi, Herbert usiadł i ręką wskazał ajentowi obok stojące krzesło.

„Chcę przygotować pana do nadzwyczaj przykréj niespodzianki, rzekł nieco zakłopotany pan Blair, nie wiedząc od czego zacząć i jak zwiastować tak nieprzewidzianą wiadomość—a mam na to zaledwie parę minut czasu, gdyż za chwilę przybędzie tu ktoś, czyja obecność nader, co najmniéj nie miłe zrobi na panu wrażenie... Ale pan tak zmieniony, może czujesz się słabym?

— Nie, nie! odrzekł Herbert, przygryzając blade i drżące usta, kończ pan proszę.

— Nie dziwi mnie iż zwróciło pana uwagę, iż mówiąc do niego powiedziałem „panie" a nie milordzie." Przykro mi bardzo iż ja właśnie zmuszony jestem zawiadomić pana o zupełnéj zmianie jego położenia—ale nie wolno usuwać się choćby od najcięższego obowiązku. Gdy rozkazałem wypuścić na wolność Williama Lydney, zapytywałeś pan co mnie mogło do tego skłonić i jakiém prawem mogłem to uczynić—wówczas nie mogłem dać panu zadawalniającéj odpowiedzi—dopełniam tego obecnie. Pierwéj jednak muszę zalecić panu abyś się uzbroił w odwagę.

Herbert nic nie odpowiedział, stał z rękami skrzyżowanemi na piersiach, śmiertelna bladość pokrywała twarz jego. Widać było iż tylko ostatnim wysiłkiem woli mógł pozorny okazywać spokój.

„Przed dziesięciu laty, smutna katastrofa miała miejsce w rodzinie Dane'ów, mówił daléj pan Blair. Kapitan Harry Dane został zabity, tak przynajmniéj mniémano—skutkiem zepchnięcia z nadbrzeżnych skał morskich, w następstwie walki z jakimś nieznanym napastnikiem. Do onegdaj, czy do wczoraj jeszcze, nikt nie wiedział kto był tym zabójcą — ale dziś odkryło się że pan nim jesteś.

To powiedziawszy pan Blair zatrzymał się przerażony nagłą, nadzwyczajną zmianą jaką ujrzał w twarzy Herberta. Pot kroplami spływał mu z czoła, w oczach śmiertelna malowała się trwoga, wyciągnął błagalnie dłonie.

— Nie było to wcale zabójstwo rozmyślne, wyszeptał z jękiem, jeżli zostanę uwięziony jako zbrodzień, będzie to krzycząca niesprawiedliwość gdyż jestem niewinnym. W następstwie kłótni, przyszło między nami do bójki... on pierwszy mnie uderzył—musiałem się bronić... Staliśmy na skraju skały... w uniesieniu walki... pojmujesz pan... zapomnieliśmy o tém.. i on spadł ze skały... ale przysięgam że nie miałem zamiaru strącić go w przepaść. Nie jestem więc winien jego śmierci—bo nie chciałem go zabić... Gdyby Harry Dane mógł powstać z grobu... gdyby mógł przemówić... potwierdziłby prawdę słów moich...

— Nie przeczę panu; ale trwoga i przerażenie pana są bezzasadne, i gdybyś był wysłuchał mnie do końca...

— Miałem przeczucie iż dotknie mnie jakieś nieszczęście, mówił Herbert jakby we śnie, nie zwracając uwagi na słowa pana Blair. Kilka dni temu. w nocy, ukazał mi się Harry Dane.

— Co?... doprawdy!... widziałeś go pan!.. Zapewne jego widmo, i gdzież się ukazało?

— Tak, śmiéj się pan, szydź z mego przerażenia... Dawniéj i ja wyśmiewałem się z wszelkich widm i strachów, których się boją kobiety i dzieci. A jednak zaręczam pana, ja Godfred, baron Dane—a przecie teraz jest dzień i jestem najzupełniéj przytomny—ukazał mi się powtarzam duch kuzyna mego, Harrego Dane. Przechodziłem przez ruiny kaplicy, i w jedném oknie zobaczyłem go wyraźnie, wpatrującego się we mnie... księżyc świecił... przy jego blasku rozróżniłem wyraźnie rysy twarzy i wzrost Harrego... tak jakbym widział żywego.

Herbert zatrzymał się nagle; szmer głosów i szelest kroków w wielkiéj sali zwrócił jego uwagę. Zdawało mu się że urzędnicy sądowi przychodzą go aresztować, i zanim pan Blair mógł wytłomaczyć mu o co chodzi, pobiegł do drzwi, uchylił je i zajrzał do wielkiéj sali.

Stanął jak skamieniały. W pośród ogromnéj sali ujrzał wspartego na ramieniu Williama Lydney, człowieka wysokiego wzrostu, którego piękne rysy i szlachetny wyraz twarzy, przypominały nadzwyczaj Harrego Dane. Obok niego szedł Ravensbird i adwokat Apperly, a za nim postępował Bruff z twarzą łzami zalaną.

— Zrozumiałeś pan zapewne; szepnął mu do ucha pan Blair, że to nie ducha swego kuzyna zobaczyłeś owéj nocy ale jego samego. Nie zabił się pomimo spadnięcia ze skały. Przyjaciel kapitana, pułkownik Moneton, zabrał go na swój statek, odpłynął z nim do Ameryki, gdzie pozostawał dotąd, nie wiedząc że skutkiem śmierci brata, został lordem Dane, parem Anglii i panem Danesheldu. Nikt pana nie oskarża o morderstwo, panie Dane, ale musisz wyrzec się noszonego tytułu i stanowiska, gdyż lord Dane, prawy spadkobierca, przychodzi je objąć.

Herbert Dane westchnął ciężko.

— A ten kto jest? zapytał wskazując na Lydney'a.

— Syn lorda, Godfred William.

— Syn jego!... syn?... zawołał.

I jakby idąc za natchnieniem nagłego postanowienia, otworzył drzwi i szybkim krokiem podszedł ku lordowi Dane. Chwilkę stali naprzeciw siebie, wpatrując się w siebie w milczeniu,

„Herbert!—Harry!"

Rzucili się sobie w objęcia. Obecni odsunęli się, pojmując że dwaj kuzynowie pragną pozostać sami.

— Najpierw, Herbercie, dowiedz się że ci przebaczam...

— Ja nie chciałem cię zabić, odrzekł Herbert głęboko wzruszony, nie popchnąłem cię rozmyślnie... nie wiedziałem że stoisz nad przepaścią... Przysięgam ci, Harry, dopiero widząc że spadasz...

— Nie walkę naszą i jéj następstwa przebaczam ci, bo nie tém zawiniłeś, Herbercie... o ile sobie przypominam ja byłem wyzywającym... Ale powinieneś był, widząc jak bezprzytomny padłem na wybrzeże, sam dać mi zaraz ratunek, lub biedz zawezwać do niego służbę pałacową.

— Byłem najmocniéj przekonany żeś się zabił na miejscu, a nikczemna obawa aby mnie nie oskarżono i nie skazano jako zabójcę, kazała mi uciekać co prędzéj, aby nie zostać odkrytym. Nie zostawiałem cię zresztą bez ratunku, bo widziałem strażnika celnego, tuż obok miejsca gdzie spadłeś.

— To też nie o tém myślałem mówiąc że ci przebaczam... przebaczam zdradę i podstęp, jakiemu i ty i Adelajda zawiniliście względem mnie... Czy ty pojmujesz co ja wycierpiałem?... a jednak przebaczam ci jak jéj przebaczyłem.

— Ona nie była godną ani mnie ani ciebie... i ja także zostałem przez nią zdradzony... Jak pierwéj z ciebie tak następnie z moich cierpień robiła sobie igraszkę. Ileż to razy, dręczony rozpaczą i wyrzutami sumienia, żałowałem gorzko iż przeszkodziłem ci ją zaślubić... ileż to nieszczęść i cierpień bylibyśmy uniknęli.

— Czy wiedziałeś, czy nie domyślałeś się przynajmniéj że ja żyję jeszcze?

— Nigdy. Jakże mógłbym to przypuszczać?...

— Więc nie odebrałeś odemnie listu? Po śmierci ojca mego, napisałem do lorda Dane, w przekonaniu, że jest nim brat mój, Godfred Dane; list ten dowodził ci że ja żyję.

— Nigdy go nie odebrałem i nie wiedziałem nic o nim. Po moim wyjeździe za granicę, o ile sobie przypominałem, z początku bardzo nieregularnie odbierałem listy, a kilka ich nawet zaginęły i nigdy mnie nie doszły. Ach! Harry, czegożbym był nie oddał, gdybym był mógł przypuszczać że żyjesz, gdyby choć najlżejsza poszlaka dozwalała mi wnosić że nie jestem zabójcą... jakiż to straszny ciężar spadłby mi z serca, jakże gorąco dziękowałbym Bogu!...

W tych słowach Herberta tyle było prawdy i szczerości, iż lord Dane czuł że może im wierzyć.

„Wytłomacz że się jeszcze co się skłoniło do zabrania mojéj szkatułki? Dla czego ukryłeś ją w kryjówce pałacowéj?

— Nie wiem jak na to odpowiedzieć, bo i sam sobie sprawy z tego zdać nie umiem. Postrzegłszy tę szkatułkę na wybrzeżu, ogarnęło mnie jakieś niewysłowione przerażenie—sam nie wiem czego się obawiałem, ale obawa ta była nader silna.

...Przez te lat dziesięć ciągle byłem dręczony gwałtownym niepokojem. Drżałem co chwila na samą myśl że wszystko może się odkryć, i pod wpływem bezmiernego przestrachu jaki wzbudził we sam widok téj szkatułki, nie namyślając się nad tém co robię, kazałem ją zabrać do pałacu i ukryłem w kryjówce. Gdy młody Lydney przyszedł upominać się o nią, przestrach jakiego doświadczyłem wydał mi się i śmiesznym i nieuzasadnionym, ale nie wypadało mi przyznać się do tego żem ją zabrał, i dla tego jedynie jéj nie zwróciłem. Dowodziłem ciągle że nie widziałem jéj w pałacu—jakże miałem przyznać się do kłamstwa, jakim sposobem wynieść ją z pałacu i gdzieś podrzucić. Nie przypuszczałem także aby Lydney miał do niéj prawo, sądziłem że tylko przyznaje się do cudzéj własności. Ale szkatułka jest nienaruszona, możesz być o nią spokojny, zwrócę ci ją niezwłocznie.

— Na jedno jeszcze pytanie odpowiedz mi, Herbercie; dla czego tak zawzięcie prześladowałeś mego syna?

— Mogłżem wiedzieć że jest twoim synem? nie przypuszczałem nigdy że możesz mieć syna w tym wieku,... brałem go za awanturnika mającego jakieś tajemne stosunki ze złodziejami zwierzyny...

— Teraz zrozumiałeś zapewne co go skłoniło do szukania tak szanownego towarzystwa; najpierw umawiał się z Ben Beecher'em o wynalezienie szkatułki, bo uwierzywszy twoim zapewnieniom, sądził że hultaje ci musieli ją ukraść. Następnie znów spotykał się i rozmawiał z nimi w interesie biednego Wilfrida Lester, aby go ustrzedz od ostatecznéj zguby. Czyż nigdy nie przyszło ci na myśl, że podżegaczem i kierownikiem téj nocnéj napaści na dom pana Lester, był syn jego Wilfrid? Syn mój przybył za późno aby go od tego odwieść.

— Byćże to może!... Wilfrid Lester mógłby upaść tak nizko aby napadać w nocy na dom własnego ojca?... A to niepodobna!

— A jednak tak było. Nie miał jednak zamiaru dopuścić się kradzieży, ale chciał jedynie zabrać jakiś akt bardzo dla niego ważny, a którego ojciec nie chciał mu pokazać.

Herbert Dane zamyślił się głęboko; wszystko powoli rozjaśniło się w jego umyśle.

„Herbercie, mówił daléj lord Dane, postanowiłem odtąd osiąść stale w Danesheld. i od dziś dnia obejmuję w posiadanie pałac i posiadłości moich naddziadów. Pozostań z nami, jako mój najbliższy krewny — a teraz jeszcze przedstawię ci mego syna.

Otworzył drzwi aby przywołać Williama, ale zobaczywszy co się dzieje w wielkiéj sali. wszedł do niéj natychmiast. Zebrała się tam cała prawie służba pałacowa: najstarsi poznali go od razu i powitali radośnie. Niektórzy nawet przyklękli; wszyscy prawie mieli łzy w oczach.

„Wiedziałem że mnie poznacie, mówił lord Dane, witając serdecznie wiernych służących swego ojca. Byłbym dawno do was powrócił, ale pewny byłem że brat mój starszy Godfred żyje i jest waszym panem.

Głośne okrzyki rozległy się w wielkiéj sali: Niech żyje lord Dane! niech go Bóg strzeże i błogosławi! Niech żyje lord Dane!

— Dobrzy moi przyjaciele, podobno nie długo już będę z wami, bo nieubłagany wróg nas wszystkich, śmierć—już mnie dotknęła swoim palcem. Ale zstępując do grobu pozostawię wam mego zastępcę—dodał kładąc rękę na ramieniu syna.

— To żywy portret Dane'ów! zawołali jednogłośnie.

— Tak. podobny jest do mego ojca i dziada. Dotąd był dla was tylko Williamem Lydney, i zapewne nie raz zdarzyło wam się słyszéć że go uważano za awanturnika. Nikt w Danesheld nie domyślał się kogo tak posądzano. Przyjaciele moi oto jedyny syn mój a wasz pan, Godfryd Dane.

— Nie myślcie jednak żem wam się przedstawił pod fałszywém nazwiskiem, rzekł śmiejąc się młody człowiek, nazywam się także i William Lydney.

— O! Godfryd jest prawdziwym Dane'm staréj daty, szczerym, prawym, serdecznym, nie zdolnym do żadnego fałszu, rzekł ze wzruszeniem lord Dane. Bądźcie mu wierni i oddani, bo będzie dla was jak najlepszym panem i opiekunem zarazem. Herbercie, przyjrzyj mu się i powiedz jak mogłeś go nie poznać.

— Cecylia jak tylko go zobaczyła zauważyła że jest podobny do lady Dane, odrzekł podając rękę Godfredowi Dane—ale ja żartowałem z jéj spostrzeżeń. Wszak zapomnimy o przeszłości?

— Wszak pozwolisz, kuzynie, abym ją odwiedził? rzekł wesoło młody Godfred.

— Najchętniéj, odpowiedział Herbert, ale uprzedzam cię że Cecylia gotowa pomyśléć żeś się w niéj zakochał.

— Czy tak! rzekł lord Dane; no! co do tego przyjdzie jéj rozprawić się z Maryą Lester. Biedna, poczciwa Cecylia!

W téj właśnie chwili miss Dane w swéj własnéj osobie uchyliła nieco drzwi, aby zobaczyć co się to dzieje w wielkiéj sali. Była w swoim pokoju niepokojąc się na samą myśl jakie następstwa pociągnąć może za sobą nieunikniona jak wnosiła, sprzeczka brata jéj z Lydney'em, gdy wtém Bruff przypomniawszy sobie o niéj, poszedł powiedzieć jéj nieprawdopodobną wiadomość.

— Czy mogę wejść? zapytała. Doprawdy w głowie mi się miesza, nie wiem co mam myśléć. Dowiaduję się że Harry zmartwychwstał i staje się panem Danesheldu. Harry, tyżeś to rzeczywiście?

Lord Dane podszedł ku niéj i uściskał ją serdecznie. Biedna Cecylia nie wiedziała co się z nią dzieje; łzy stanęły w jéj oczach. Kiedyś, ona i Harry, żywili wzajemnie dla siebie prawdziwie braterskie przywiązanie.

— A William Lydney? zapytała uspokoiwszy się, oglądając się do koła. Bruff powiedział... ale to niemożebne.... chyba mu się przewidziało...

— William Lydney jest czém inném niż się być zdawał? rzekł z uśmiechem młodzieniec, przysuwając się do niéj; pozwól, miss Dane, abym, jako kuzyn sam ci się przedstawił.

— O! mój Boże!... kuzyn! zawołała pomieszana... ale tak... tak rzeczywiście jeżeli Bruff powiedział prawdę... jeżeli jesteś synem Harreho... jest pokrewieństwo... jesteś moim kuzynem... ale zdaje się w dalekim stopniu...

I wybąknąwszy kilka słów niezrozumiałych—w których była niby mowa o kanarku którego klatki zapomniała zamknąć, miss Dane prędko wybiegła z salonu, i pośpieszyła do swego pokoju, a zaniepokojona ważną i trudną kwestyą któréj umysł jéj jakoś nie umiał rozwiązać, chciała zasięgnąć rady wyroczni, i otwierając na traf swoją książkę do nabożeństwa, przeczytała pierwsze wiersze od góry stronnicy. „Nikt nie może żenić się ze swoją babką.“

Gdy się to dzieje w wielkiéj sali pałacu, pan Blair udał się do Danesheld-Hall, i kazał prosić pana Lester o chwilkę rozmowy.

— Bankier lorda Dane! zawołał squire Lester; i owszem, bardzo proszę!

Może meldowanie i zezwolenie to było zbyteczne, gdyż pan Blair wszedł do gabinetu zanim jeszcze zostało udzielone.

„Przychodzę może za rano, rzekł, ale mam pomówić z panem w nader pilnéj sprawie — niech mnie więc to wytłomaczy. Zanim przystąpię jednak do rzeczy, muszę pana wyprowadzić z błędu—nie jestem bynajmniéj bankierem lorda Dane, a nawet wcale nie jestem bankierem. Pod względem finansowym, stanowisko moje jest bardzo mało znaczące. Jestem po prostu jednym z najgłówniejszych członków policyi londyńskiéj.

— Cóż znowu zawołał pan Lester.

— Tak panie. Przybyłem do Danesheld dla dopilnowania paru spraw wchodzących w zakres mego urzędowania, a pojmujesz pan, że w takich razach najlepiéj aby nie wiedziano kto jesteśmy. Dla tego jedynie mówię panu to wszystko, aby go przekonać iż niesłusznie potępiasz pana Bent za to że uwolnił Wiliama Lydney, gdyż nie mógł nie spełnić rozkazu jaki mu dałem.

— Ale dla czegóż wróciłeś mu pan wolność?... czy w zamiarze zaprzestania dochodzenia téj sprawy?... i cóż może pana do tego skłaniać? zapytał żywo pan Lester. Człowiek ten jest to łotr wierutny... zamierzał dopuścić się gwałtownéj kradzieży... i pan chcesz osłonić go od następstw podobnego przestępstwa?

— Nie zgadzałoby się to z mojém powołaniem, które nakazuje mi karać a nie osłaniać przestępców. Posłuchaj mnie, panie Lester. W owéj nocnéj napaści na dom pana, był ktoś co ją wywołał i kierował, wciągając do tego wielkiemi obietnicami, biednych złodziei zwierzyny.—W mojem przekonaniu na niego to spada cała odpowiedzialność.

— Podzielam je najzupełniéj—tak główna wina ciąży na podżegaczu, a tym jest Lydney.

— Chciéj pan wierzyć iż jestem najzupełniéj pewny tego co mówię—inaczéj nie byłbym przychodził do pana. Pan Lydney żadnego w tym napadzie nie miał udziału.

Pan Blair powiedział to poważnie, zniżając nieco głos. Pochylił się nieco ku panu Lester, patrzył na niego surowo, mimo to jednak w oczach jego przebijało jakby uczucie politowania, które squir Lester dostrzegł.

„Sprawcą tego napadu jest pan Wilfrid Lester, rzekł stanowczo.

Pan Lester zerwał się nagle, tak nagle, że aż przewrócił stojący na stole kałamarz, i z gniewem, może sam nie wiedząc co mówi, przemówił w obronie syna. Pan Blair z właściwą powołaniu swemu obojętnością, czekał aż burza przeminie, poczém odrzekł:

„Bardzo rad jestem, panie Lester, słyszéć właśnie z ust pana, że skutkiem poróżnienia z panem, syn jego zszedł na złą drogę. On to bowiem ułożył i wykonał ów napad nocny na dom pana, i łatwo panu przyjdzie przekonać się o tém niezaprzeczenie. Raz jeszcze powtarzam, nie przychodziłbym do pana nie będąc dokładnie zawiadomionym—wszakże wiesz pan teraz kto jestem.

Pan Lester upadł na krzesło zgnębiony i zawsty-

dzony—nie mógł już wątpić dłużéj. A więc syn jego upadł tak nizko... chciał dopuścić się gwałtownéj kradzieży!

— Ale jakiż miał w tem cel?... Do czego zmierzał?.. wyjąkał, nic mi nie zostało skradzione.

— Bo też nie zamierzał popełnić kradzieży—przynajmniéj w właściwém słowa tego znaczeniu. Ów wystrzał z pistoletu który pana obudził, dany był do jednego ze wspólników, który korzystając ze sposobności, chciał zabierać sobie niektóre przedmiota, czego syn pana nie chciał dopuścić. Mówisz pan że nic nie zabrano—jednak coś zostało wzięte.

— Cóż takiego? zapytał pan Lester, oglądając się niespokojnie do koła, jakby chcąc się przekonać że wszystko jest na swojém miejscu.

— Czy przeglądałeś pan swoją skrzynię z dokumentami?

— Nie, odrzekł squire Lester i spojrzał, na skrzynię.

— Zdaje mi się że Wilfrid Lester chciał tylko zabrać pewien dokument odnoszący się do jakiegoś zapisu na rzecz jego, a którego nie chciałeś mu pan wypłacić ani usprawiedliwić odmowy okazaniem aktu

Zadziwiony niewymownie, squir Lester pochwycił pęczek kluczy i otworzył skrzynię—nie było w niéj aktu darowizny.

— Teraz pojmujsz pan cel twego syna... Nie bronię jego postępku, ale każdy przyzna że był w swojém prawie domagając się okazania mu tego aktu, i że pan niesłusznie opierałeś się jego żądaniu.

— Czy zamierzasz go pan aresztować? zapytał pan Lester, prawie z pokorną miną, jak człowiek schwytany na gorącym i poniżającym uczynku. Od dawna już czuł że niegodnie postępuje z synem.

— Nie mam prawa go aresztować; jeżli pan chcesz daléj prowadzić tę sprawę i ukarać winnego, musisz inspektorowi Bent dać instrukcye i polecenie aresztowania Wilfrida Lester. Może syn pana zostanie ukarany, ale niezawodnie opinia publiczna nie jego potępi... a potém myślę że w całéj Anglii nie znajdzie się sędzia któryby wydał na niego wyrok potępiający.

— Niepotrzebnie mi to pan mówisz, rzekł cierpko squire Lester, nie mam bynajmniéj zamiaru kazać go aresztować.

— Gdybym nie był przekonany iż pomimo swego nielitościwego postępowania z synem, squire Lester, który sam wie najlepiéj czyjemu wpływowi ulegał—jest pomimo to człowiekiem mającym serce, nie byłbym mu wyjawił nazwiska winowajcy, odrzekł pan Blair spoglądając na niego surowo. Ale jestem pewny że nie będziesz pan skarżył do sądu nieszczęśliwego młodzieńca, własnego syna, i nie zechcesz dodać nowego żywiołu plotkom kursującym w Danesheld.

— Nowego żywiołu?.... Co się to ma znaczyć? nigdy nie dawałem powodu do plotek i potwarzy.

— A! łaskawy panie, rzekł ajent policyjny, gdybyś się choć trochę domyślał jak surowo i miasto i cała okolica sądzi twoje postępowanie, nie mówiłbyś tego. Pomimo wszystkich swych wykroczeń, w porównaniu z panem, Wilfrid jest jeszcze szanowany.

— Jesteś bardzo surowym, panie Blair.

— To wina mego urzędu. Jeżli zechcesz pan rozważnie i bez uprzedzenia zastanowić się nad przeszłością—czego zapewne nie czyniłeś dotąd—to niezawodnie wyprowadzisz z niéj ten sam wniosek jaki ja wywiodłem: gdyby własny ojciec nie był tak bez serca obchodził się z nim, Wilfrid Lester nigdy byłby nie splamił swego nazwiska.

Pan Lester zaczynał się niecierpliwić.

„A teraz jeszcze mam objaśnić panu jaki miał udział w tym napadzie William Lydney....

— Aha! ten Lydney, przerwał unosząc się squire Lester, jakby korzystając z téj sposobności wybuchnięcia gniewem. Sądzę że zapewne nie zechcesz pan stawać w jego obronie—jeśli ten nie przychodził przecie szukać tu aktu darowizny.

— Posłuchaj mnie, panie Lester. William Lydney dowiedział się przypadkiem w niedzielę wieczorem, że wtenczas właśnie syn pana znajdował się w lesie, w towarzystwie dwóch czy trzech złodziei zwierzyny, i że wszyscy przywiązywali sobie do kapeluszy czarne zasłony. Parę szczegółów kazało mu wnosić iż zamierzali napaść na pałac. Dziwi to pana? bardzo to pojmuję, ale nie mam czasu wchodzić w szczegóły. Pan Lydney czekał długo na dworze, pomimo zimna i gęstéj mgły, dla tego jedynie aby nie dopuszczając napaści, uchronić syna pana od niesławy. Dopiero o jedenastéj zawiadomiono go że nie chodzi o pałac ale o Hall, do którego już się wdarli—pobiegł tam natychmiast, ale nie zdołał już przeszkodzić napadowi, i tylko Wilfrida odprowadził do katażu, gdzie już był bezpieczny. Pozwolił się aresztować aby go nie zdradzić, i jedynie przez przyjaźń dla Wilfrida nad którym czuwam nieustannie, rozmawiał niekiedy w lesie z tymi hultajami. Nie wiem czy panu wiadomo że zaprzyjaźnił się bardzo z synem pana.

— Nic dziwnego, Wilfrid zawsze szukał złego towarzystwa, odrzekł pogardliwie pan Lester.

— No, jeżli nigdy nie szuka gorszego nad towarzystwo pana Lydney, to można mu powinszować, odpowiedział pan Blair, wybuchając głośnym śmiechem.

— Jakto? więc któż jest ten Lydney?

— Zapytaj pan o to jego samego przy pierwszéj sposobności; ja powiem tylko że nie często zdarza się spotkać człowieka któryby chciał przyjąć na siebie cudzą winę i niesławę i dozwolić się za kogoś aresztować.

— O! zapewne ten Lydney musiał mieć jakiś powód skłaniający go do tak pięknego poświęcenia, rzekł szydersko pan Lester.

— Może i nie jeden miał powód—tego nie przeczę, a może też postąpił tak jedynie przez wdzięczność dla Wilfrida Lester, który ocalił mu życie. Mówią także... utrzymują niemal powszechnie, że zdolny byłby do większych nawet ofiar dla brata miss Lester.

Słowa te do najwyższego stopnia rozgniewały pana Lester.

— Ten Lydney jest prostym nikczemnikiem! pragnął wszelkiemi sposobami przywieść córkę moją do sprzeciwienia się mojéj woli... Czy i z téj strony zechcesz pan bronić jego postępowanie?

— Nie, panie, byłoby to zbytecznem, sądzę że sam potrafi się bronić, odrzekł pan Blair wstając—mnie czas już jechać.

— Gdybym był lordem Dane, położyłbym go trupem.

— Gdybyś pan był lordem Dane, nic podobnego w głowie by ci nie powstało, odrzekł śmiejąc się pan Blair.

Było coś w tonie głosu i w obejściu ajenta policyjnego czego pan Lester nie mógł pojąć ani wytłomaczyć sobie.

Rozdział XVII.

Przybrany wuj Sally.

Nie długo po wyjściu pana Blair, trzech gentlemen'ów wysiadło z powozu przed domem pana Lester.

Na jednego z nich, służący otwierający im drzwi spoglądał z ukosa—był to pan Lydney. Drugim z przybyłych był adwokat Apperly; trzecim jakiś nieznajomy dumnéj i pańskiéj postawy.

„Pragnę widziéć się z panem Lester, rzekł ostatni.

Służący skłonił się i zaprowadził przybyłych do gabinetu swego pana. Gdy już miał otworzyć drzwi, odwrócił się, zapytując:

„Jak godność pana?

— Lord Dane.

— Prze... przepraszam pana, prosiłem o jego nazwisko.

— Lord Dane.

Usłyszawszy to nazwisko poraz drugi wyraźnie wymówione, służący myślał że ma do czynienia z jakimś maniakiem- -jednak nie wiedząc co robić, otworzył drzwi i zameldował. Pan Apperly wszedł za lordem Dane. Co do Williama Lydney, gdy służący obrócił się patrząc czy wyjdzie—już go nie było.

Pan Lester zostający dotąd pod wpływem przykrych objaśnień udzielonych mu przez pana Blair, chodził wielkiemi krokami po swoim gabinecie. Zatrzymał się nagle postrzegłszy nieznajomego. Sądził że służący omylił się meldując, albo że lord Dane zaraz wejdzie. Przypatrywał się ciekawie nieznajomemu którego rysy przypominały mu kogoś, a nareszcie rzekł:

„Sądziłem... zdawało mi się że służący mój meldował lorda Dane.

Nieznajomy postąpił podając mu rękę.

— Nie zdawało ci się; lord Dane stoi przed tobą. Czy nie poznajesz mnie Jerzy?

Pan Lester stał jak przykuty do miejsca.

— Przypatrz mi się dobrze, a przekonasz się, Jerzy, że to Harry Dane stoi przed tobą, że nie umarł i powrócił objąć dziedzictwo swych przodków... No, uspokój się; siadaj i posłuchaj mnie.

I lord Dane w krótkich słowach objaśnił go o wszystkiém; pragnął co prędzéj przedstawić mu syna.

— Czy syn twój przybył z tobą do Danesheld? zapytał pan Lester.

— Jest ze mną tu u ciebie; prosiłem go aby zatrzymał się w salonie dopokąd nie rozmówię się z tobą. Muszę ci powiedziéć. Jerzy choć może zawcześnie jeszcze mówić o tém, że poznał twoją córkę i zakochał się w niéj szalenie.

— Gdzież ją mógł poznać?

Nie odpowiadając na to pytanie, lord Dane mówił daléj.

— Ja zgadzam się na jego wybór i sądzę że i ty nie odmówisz memu synowi, pomimo pewnych przyrzeczeń danych Herbertowi. Widać już tak sądzono twojéj córce aby mieszkała w pałacu, więc niechże w nim zamieszka; ta tylko zajdzie różnice iż zamiast udanego, zaślubi prawdziwego lorda Dane.

— Dziwna rzecz! pan Lester nic a nic nie domyślał się prawdy—ani przyszło mu na myśl że to chodzi o Lydney'a. Gdyby nie był tak wzburzony i rozdrażniony, byłby pewnie lepiéj zdał sobie sprawę z położenia—ale zbyt bezgraniczna przestrzeń oddzielała złodzieja zwierzyny, człowieka posądzonego o gwałtowną kradzież, od przyszłego lorda i para Anglii, aby mógł przypuścić iż dwie te osobistości mogą miéć w sobie coś wspólnego. Lord Dane zadzwonił i polecił wchodzącemu służącemu aby poprosił młodego przybyłego z nim gentlemana żeby przyszedł do nich do gabinetu.

— Służący zastał pana Lydney siedzącego w salonie, lecz zaledwie spełnił dane mu polecenie i młody gentleman wstał chcąc spełnić rozkaz ojca, gdy wtém spostrzegł Maryę wchodzącą z ogrodu do cieplarni. Zapominając o wszystkiém pobiegł na jéj spotkanie.

— A! panie Lydney, po co tu przyszedłeś? zawołała; jak możesz się tak narażać, ojciec znów panu drzwi pokaże.

— Nie sądzę. Mógł wypędzić ze swego domu nieznanego Williama Lydney, ale bądź pewna, miss Maryo, nie odważy się obrażać Godfreda Dane.

Spojrzała na niego z najżywszem zadziwieniem. On ujął obie jéj ręce i rzekł przyciągając ją ku sobie.

— Lord Dane, mówił, jest w téj chwili u ojca twego, Maryo, i—jak mi się zdaje—prosi go o twoją rękę. Czy chcesz przyrzec mi że zostaniesz kiedyś lady Dane?

— Marya chciała odsunąć się i wysunąć ręce—przycisnął je jeszcze silniéj.

— To może chętniéj zezwolisz na to abyś została moją żoną, Maryo? mówił z wyrazem niewysłowionego uczucia... Ach! daremnie chcesz odejść, Maryo, nie puszczę cię ukochana moja, dopokąd nie dasz mi słowa. Nie będę cię już dręczyć ani ukrywać się dłużéj... Zaufałaś Williamowi Lydney, obcemu nieznanemu, spotwarzonemu, zaufałaś mu pomimo iż wtedy nie mógł się uniewinnić ani dać ci poznać.. Powiedziałem wówczas że nie pożałujesz położonego we mnie zaufania i dotrzymuję słowa. Jestem Godfred Dane. Ojciec mój, kapitan Harry Dane, a dziś lord Dane, którego od lat dziesięciu miano za umarłego, żyje i teraz właśnie rozmawia z twoim ojcem... Maryo, czy teraz zgodzisz się zostać moją żoną?

Nie rozumiała dobrze, może nawet zupełnie nie rozumiała co mówił, ale w głosie jego tyle było prawdy i szczerości, że Marya uczuła się nagle jakby owiana tchnieniem niewysłowionego szczęścia, i nie miała siły oprzéć się jego uściskowi. Szczęśliwy, złożył na jéj ustach pocałunek narzeczonego...

Zatopieni w sobie, nie wiedzieli że szpiegowała ich mistress Tiffle, ukryta za drzwiami cieplarni. Nie dość na tém niezwłocznie ukazała się lady Adelajda. Zobaczywszy ją, Marya prędko schowała się za jakiś wielki krzew, umierając prawie ze strachu na samą myśl strasznego jéj gniewu i burzy jaka wybuchnie.

Jakież było jéj zadziwienie, a raczéj osłupienie, gdy zobaczyła lady Adelajdę podbiegającą ku jéj ukochanemu i podającą mu ręce.

— Lord Dane, niecierpliwiąc się że syn nie przychodzi, zadzwonił powtórnie.

— Co może tam zatrzymywać Godfreda? rzekł do pana Lester. Chciałem ci go przedstawić. Co do majątku, córka twoja lepiéj wyjdzie idąc za syna mego, niż gdyby poszła za Herberta. Godfred odziedziczył po matce ogromny majątek, a ja od lat dziesięciu nie wydawałem i połowy moich dochodów—zatém nie licząc nawet dochodów z naszych tutejszych posiadłości, syn mój posiada prawdziwie książęcą fortunę.

— Byłaby to dla niéj jak najzaszczytniejsza partya! zawołał uradowany pan Lester — żeby tylko Marya chciała rządzić się rozumem... Na nieszczęście, w ostatnich czasach, pojawił się w Danesheld jakiś chłystek, awanturnik, który... A to co! zawołał zrywając się nagle wściekłym uniesiony gniewem, zobaczywszy Lydney'a najspokojniéj wchodzącego do pokoju, nawet bez zameldowania. Wacpan tu!... w moim domu... to bezczelne zuchwalstwo. Jak śmiesz... A zwracając się do lorda Dane, dodał:

— Wybacz mi, lordzie Dane, ale jest to właśnie ów panicz o którym ci wspomniałem przed chwilą, ten Lydney...

Zamilkł nagle... gdyż lord Dane wziął pod rękę owego „awanturnika.“

— Przepraszam że ci przerywam, rzekł lord Dane, powiesz mi co masz do zarzucenia Lydney'owi, jak ci przedstawię syna mego, Godfreda Dane.

Osłupienie squira Lester miało w sobie coś komicznego. Zaledwie po chwili zdołał wyjąkać:

— On! jest twoim synem!

— Tak moim własnym, jedynym synem, on Godfred Lydney Dane. Ah! moj Jerzy, i ty i Danesheld okazaliście się bardzo niesprawiedliwi względem niego... oskarżaliście go o nie wiedzieć jakie niegodziwości—jedna tylko Marya odgadła go sercem; ona jedna umiała go ocenić, poznała że jest najzacniejszym, najszlachetniejszym człowiekiem... To też myślę że najlepiéj zrobisz oddając mu jéj rękę, zamiast, jak zamierzałeś, wydać ją za Herberta Dane.

Squire Lester tak był zmieszany iż nie umiał odpowiedzieć. Spoglądał z kolei to na Maryę, którą William mimo jéj oporu wprowadził do gabinetu ojca, to na syna lorda Dane, nie mogąc sobie darować że mógł się tak omylić. Przyznać jednak trzeba że z pierwszego zaraz wejrzenia, szlachetna twarz młodzieńca nader miłe i sympatyczne wywarła na nim wrażenie—i tylko następnie zbieg okoliczności i dowodzenia Herberta Dane, tak go niesłusznie względem niego uprzedziły.

— Niech Marya sama wybiera, rzekł nareszcie łagodnie i jak najuprzejmiéj.

Godfred spojrzał na ukochaną i uśmiechnął się; Marya zarumieniona spuściła oczy, i ona także uśmiechnęła się w odpowiedzi na kilka słów które lord Dane szepnął jéj do ucha.

W kilka chwil póżniéj lord Dane powstał mówiąc:

— Teraz, gdyśmy się już porozumieli, muszę odejść.

— Gdzie się tak śpieszysz? zapytał pan Lester.

— Gdzie? Wszakże muszę pokazać się w Daneshеldzie wraz z moim synem. Chcę także oddać parę wizyt przed południem, a następnie będę przyjmował wszystkich u siebie; inaczéj ci poczciwi ludzie mogliby sądzić że widzieli tylko ducha kapitana Dane, jakto kilka dni temu zdawało się już Herbertowi. Siedziałem tak długo zamknięty między czterema ścianami, że nie mogłem oprzéć się chęci odetchnięcia świeżém powietrzem. i pewnego dnia wyszedłszy z hotelu udałem się aż do ruin kaplicy... Tam, zbliżywszy się do okna zobaczyłem Herberta, i tak z wyrazu jego twarzy jak z całéj postawy poznałem że mnie wziął za widmo. Kiedy wybiegł z kaplicy ja przez najbliższy otwór wsunąłem się wewnątrz, i ukryłem się we framudze ocienionéj bluszczem. Gdyby mnie dziś nie zobaczył i nie mówił ze mną, byłby do ostatniego dnia życia przekonanym że widział upiora. Chodź Williamie; odwiedzimy najprzód Wilfrida Lester.

— Wilfrida Lester! powtórzył squire mimowolnie.

— Tak, panie, Wilfrida Lester, odpowiedział lord Dane surowym, może mimowolnie tonem. Jeśli własny ojciec odtrącił go bez litości i skazał na nędzę i rozliczne cierpienia, to czas już aby obcy przyszli mu w pomoc. Chcę aby oboje dziś jeszcze przenieśli się do pałacu, i pozostali moimi i Williama gośćmi, dopóki *ktoś* nie da im na utrzymanie. Niech wiedzą w Danesheldzie że Wilfrid ma przynajmniéj jednego przyjaciela na którego rachować może. Biedna Edyta!... jakaż to była milutka dziewczynka, i jak chętnie przyjmowała pieszczoty kapitana Dane... daleko chętniéj niżeli ty Maryo. Mówiono mi, panie Lester, że ona o mało nie umarła z głodu, że tam u nich straszna nędza; mówiono mi że... że... ale lepiéj nie mówić już o tém, dodał lord Dane przerywając nagle; wróciłem, dzięki Bogu, aby zaradzić złemu.

Wyszedł, czując że mógłby powiedzieć za wiele. Przed drzwiami Hall spotkał miss Bordillion.

— Więc to prawda, zawołała ze łzami w oczach, kiedy jéj stary przyjaciel Harry ściskał serdecznie jéj ręce; nie dawałam wiary tak radosnéj wieści.

— Wszak przepowiedziałem to miss Bordillion, że przyjdzie taki dzień w którym przyjmiesz mnie znów chętnie w swoim domu. Mam nadzieję że choć zamknęłaś drzwi twoje Williamowi Lydney, otworzysz je dla Godfreda Dane.

— A... Marya? zapytała mimowolnie.

— O! byłem zdecydowany porwać ją i uciec, odpowiedział wesoło, ale pan Lester zapobiegł moim strasznym zamiarom, oświadczając że mogę ją zaślubić bez wykradzenia.

— O! na przyszłość będę się kierować tylko swém własném przeczuciem! pomyślała Małgorzata ścigając wzrokiem powóz lorda Dane. Serce mi mówiło że pod tak szlachetną powierzchownością nie może się ukrywać nikczemna dusza.

Lady Adelajda nie miała odwagi być obecną przy pierwszém spotkaniu się lorda Dane z jéj mężem. Zawstydzona, upokorzona swemi wyznaniami, i nie zdolna przezwyciężyć miotającéj nią obawy, oddaliła się śpiesznie do swego pokoju. Tiffle czatująca tylko na stosowną chwilę, udała się tam za nią.

„Niech milady raczy mi wierzyć że z największą przykrością przychodzi mi uwiadamiać ją o czémś tak potworném, odezwała się słodziutkim głosem; ale obowiązki moje względem milady stawiam wyżéj nad wszystko! Weszłam przed chwilą do oranżeryi—chciałam pomówić z ogrodnikiem i sądziłam że go tam znajdę—tymczasem zobaczyłam—ale doprawdy trudno mi to powiedzićć, i przysięgam że zarumieniłam się aż po końce palców.

— Proszę cię Tiffle daj pokój tym niedorzecznościom. Cóżeś widziała?

— Ah! milady, ten Lydney był w oranżeryi. Tak Lydney i miss Lester... trzymał ją wpół i przycisnął do piersi, i niech milady wybaczy że to powiedzieć muszę, pocałował ją w twarz ten... ten niegodziwiec.

Lady Adelajda spojrzała na nią obojętnie.

— Bardzo to niewłaściwe bezwątpienia, ale ponieważ miss Lester ma zostać jego żoną, nie ma znów w tém nic tak bardzo zdrożnego.

— Jego żoną! zawołała Tiffle otwierając szeroko oczy; czy to być może! i gdzież on ją zabierze? taki, milady wybaczyć mi raczy, taki zbrodniarz, któryby powinien już dawno dostać się do Botany-Bay!

— Tiffle, odezwała się surowo lady Adelajda, wskazując jéj drzwi ręką, nie zapominaj że mówisz o miss Lester.

(d. n.)

Opis do N-ru 16.

N. 1—2. Ubrania spacerowe.

N. 1 i ryc. 15 i 16 w N. 17 Tygodnika. Suknia ze stanikiem fałdowanym i tuniką.

Stanik fałdowany z gładkim karczkiem, robi się na gładkiej, do figury dopasowanej podszewce. Dolną część spódnicy nie dotykającej ziemi, stanowi nadpowietrzny 50 cent. szeroki wolant, układany w fałdy 4 cent. szerokie a 2 głębokie, z lewej strony nieznacznie do 30 cent. wzdłuż zaszyte, od dołu luźno puszczone. Na rycinie 16 w N. 17 podajemy zmniejszony model i miary tuniki, widocznej z tyłu na ryc. 15. Bryt przedni a) i bryty boczne b) zeszywają się gładko i fałdują z boków do 50 lub 55 cent. długości; następnie tylny, prosty bryt c), fałduje się w górze i wszywa do paska, z jednej strony fałduje się i zeszywa z brytem bocznym, z drugiej puszcza wolno i przypina do bryta bocznego. Całe ubranie może być z materyału gładkiego, oszyte frendzlą jak na ryc. 15 albo przybrane atłasem gładkim lub przerabianym w rzucik, aksamitem wyciskanym w deseń lub pekinem, a to w sposób wskazany na rycinie 1.

N. 2. Ubranie spacerowe z płaszczykiem wiosennym.

Do kostjumu złożonego z krótkiej spódnicy i vêtement dodane jest okrycie formą dolmanową, z jasno piaskowego szewiotu albo kaszmiru, oszyte frendzlą wełnianą, 18 cent. szeroką. Wcięte do figury wązkie plecy, mają dodaną u dołu część fałdowaną przyszytą w górze patką z frendzlą. Guziki kamienne formy kuli, tego co materyał koloru.

N. 3. Ubranie dla niedorosłej panienki.

Suknia i paltocik odrobione były z jednakowego wełnianego materyału, ostatni zdobiło tylko kilka rzędów stębnówki, suknia zaś oszyta była ciemniejszemi plisami 3 i 7 cent. szerokiemi.

N. 16. Figura środkowa i 1/4 część szlaku do haftu kolorowego na poduszkę do kanapy, ryc. 14 w N. 17.

W N-rze 17 podamy w zmniejszeniu na ryc. 14, całą poduszkę, haftowaną różno kolorową filozelą 2 albo 3 nitkową i nitką złotą, na płótnie popielatego albo szarego koloru. Różne rodzaje ściegów dokładnie wskazane są na deseniu. Na modelu użyte były żywe, harmonijnie dobrane kolory, a kontury odznaczone ściegiem łańcuszkowym, sznureczkowym, jednym lub dwoma rzędami nitki złotej, przeszytej jedwabiem czarnym.

N. 20—21. Jajko wielkanocne z kwiatów. Forma z drutu na ryc. 21.

Najpierw z cienkiego i grubszego druciku, trzeba zrobić foremkę wskazaną na ryc. 21. Z grubszego drutu robi się kółko mające 5 i pół cent. średnicy, do którego przykręca się 6 bocznych pręcików, wygiętych w sposób wskazany, z dwóch grubszych i jednego cieńszego kawałka drutu, mających po 31 cent. długości. Z cieńszego drucika przykręca się 4-ry nóżki i przeprowadza go się na krzyż przy dolnem kółku, oraz łączy się nim w górze pręciki i daje uszko. Potem środek jajka zapełnia się ściśle mchem świeżym, a powierzchnię zdobi się w sposób [illegible] do cienkich, 6 — 8 cent. długich drucików, wkładanych w mech. Wstążka kolorowa przewleczona przez uszko i związana na kokardę, służy do powieszenia i przenoszenia jajka.

N. 22—23. Kłębek sztuczny z zającami i jajkami.

Sztuczny kłębek urządza się na drewnianym politurowanym postumencie mającym 6 cent. średnicy, w któren osadza się mocno, drut od pończochy 9 cent. długi; na drut wsadza się pudełko tekturowe 10 cent. długie, 3 do 4 szerokie a 2 wysokie, w które można schować jaką niespodziankę. Pudełko owija się nićmi w sposób wskazany osadza się z brzegów drewienka na które wsadza się zajączki cukrowe, następnie dodaje się owalnie sklejony pasek tektury 2 cent. szeroki, owinięty wstążeczką lub złotym papierem, na drut wkłada się główkę drewnianą i wykończa nawijanie w kształcie jajka, koło którego układa się w mchu małe jajka cukrowe a koszyk owinięty z nici zdobi się koronką i kokardami ze wstążki. Przez nici przesunięte są druty od pończochy.

N. 17—19 i 24. Kołnierzyk chusteczkowy ozdobiony kolorowemi bufkami, składa się z bufek z wstążki lub materyi, koronki bretońskiej 5 cent., wstążki atłasowej przerabianej złotem 2 cent. szerokiej i fryzki z crêpelisse; nader łatwy układ niepotrzebuje objaśnień.

N. 25—26. Kamizelka haftowana.

Kamizelkę z białego atłasu i czarnego aksamitu, przykrawa się podług formy szmizetki od kołnierzyka; kołnierz obejmuje się pliską czarną aksamitną i oszywa sznurem jedwabnym czarnym z białym. W miejsce maszynowego haftu, zdobiącego rycinę 25, można zrobić ręcznie na aksamicie, desenik podany na ry-

N. 29. Krawacik czarny „crêpe de chine" ozdobiony haftem kolorowym, deseń odpowiedni dobrać w poprzedzających N-rach r. b.

N. 30. Krawat tiulowy. Końce krawata oszyte są dwoma wstawkami 11 cent. szerokiemi z walensjenki albo koronki bretońskiej, ogarnirowanemi w sposób na rycinie 30 wskazany, odpowiednią koronką 2 — 3 cent. szeroką.

N. 21. Koszyk do robót ozdobiony haftem krzyżowym.

Koszyk niezwykłego kształtu, 90 cent. wysoki, zrobiony jest z białej lakierowanej i złoconej trzciny, i z atłasu niebieskiego, a szlaczki w ząbki wycięte 4 cent. szerokie, haftuje się kolorowemi jedwabiami, ściegiem krzyżowym, na suknie białym. Riusze 2 cent. szerokie układa się z atłasu; sznury i kwasty jedwabne ze złotem.

N. 32. Kostjum krótki.

Model kostjumu odrobiony był z czarnego kaszmiru przybrany plisami z czarnego atłasu haftowanego lub przerabianego w maszynie w rzucik kolorowy. Spódnica oszyta była falbaną 21 cent. szeroką, układaną w kontrafałdy. Przód i boczne kliny tuniki układa się w poprzeczne fałdy, a dół oszywa wypustką z grubym sznurem; prosty dłuższy bryt tylny zaszywa się w kilka fałdek z boków, do odpowiedniej przodowi długości, a brzeg jego dolny i boczne na 24 cent. w górę, oszywa się plisą atłasową 7 cent. szeroką. Stanik z tyłu zdobi się atłasem w sposób na ryc. 32 wskazany, a do przodów dodaje się atłasową kamizelkę.

N. 33. Kostjum z tuniką i stanikiem z długą baskiną. Wskazanie kroju tuniki ryc. 23 w N. 17.

Kostjum z wełnianego materyału ma spódnicę całą układaną w szerokie fałdy, a tunikę bardzo krótko podpiętą z boków. Plisa z jedwabnej materyi albo wełnianego ciemniejszego materyału, ma przy spódnicy 8 a przy tunice 7 cent. szerokości, a ranwersy przy tylnym brycie 85 cent. długości, 3 górnej a 18 dolnej szerokości. Przedni bryt tuniki powinien składać się skośnie w środku i być w ten sposób zeszyty z brytów prostych, ażeby brzegi dolne były proste. Boczne brzegi fałduje się do 32 cent. długości i zeszywa z brytami tylnemi, które dalej wykładają się na ranwersy podszyte materyą. W górze na zeszyciu brytów daje się kilka fałdek, a pozostałą nad ranwersem długość, przy zeszyciu z przodem podpina się w dwa pukle.



N. 1 — 3. Ubrania spacerowe.

N. 1. Suknia z fałdowanym stanikiem i tuniką. N. 2. Ubranie z płaszczykiem. N. 3. Ubranie dla młodej panienki.

Opis do N-ru 17.

N. 1 i 6. Kapotka z kolorowej słomki.

Pleciona jest ażurowo i wymaga podszycia z materyi tego koloru co słomka; model był koloru bordeaux, rondko podszyte takimże aksamitem miało z wierzchu wypustkę z atłasu maisowego. Przybranie stanowił aksamit 10 centym szeroki upięty podług ryciny 6 w bufę na wierzchu główki zebraną pod kokardą z wstążki atłasowej 5 cent. szerokiej; także wstążka przeprowadzona jest do tyłu i spuszczona w końce do wiązania. Bukiecik z róży żółtej i ponsowej, rezedy i liści zielonych przypięty z przodu poniżej bufy.

N. 2. Kapelusz okrągły z bronzowej słomki



N. 4. Część haftu kolorowego na karczek do koszuli ryc. 25 w N. 17.

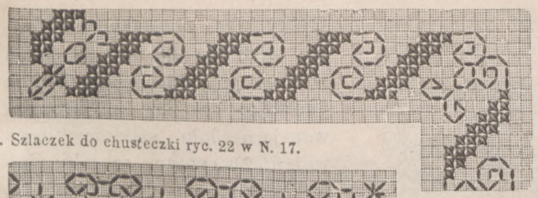


N. 6. Szlak do poszewki rycina 31 w N. 17.

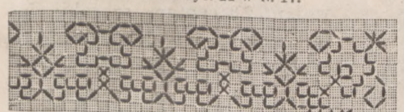


N. 5. Część haftu kolorowego na karczku do koszuli ryc. 26 w N. 17.





N. 8. Szlaczek do chusteczki ryc. 22 w N. 17.



N. 9. Szlaczek wyszyty ściegiem jednakowym na dwie strony.



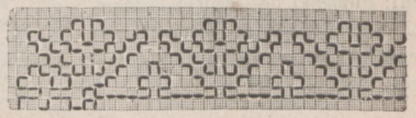
N. 11. Szlaczek wyszyty ściegiem jednakowym na dwie strony.



N. 12. Szlaczek do serwetek i t. p.



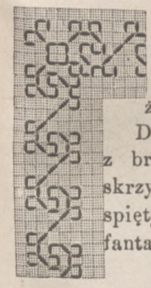
N. 13. Szlaczek do serwetek, chusteczek i t. p.



N. 14. Szlaczek do serwetek i t. p.

bronzowym; kokardy z wstążki atłasowej 6 cent. szerokiej i 2 strusie pióra po 44 cent. długie przypięte każde w przeciwną stronę.

Długi woalik gazowy z brzeżkiem złotym, skrzyżowany z tyłu i spięty na staniku fantazyjną broszą.



N. 10. Szlaczek.

N. 4—5. Kapelusz okrągły z czarnej słomki.

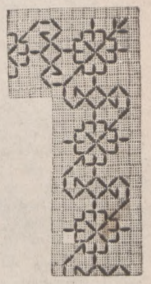
Rondko podszyte atłasem a z brzegu plecionką złotą 1 cnt. szeroką; wstążka repsowa 8 cent. szeroka, założona w fałdę opasuje główkę, na wierzchu której upięta jest w wielką kokardę; dwa końce z których jeden wysuwa się z pod kokardy a drugi przyszyty od spodu rondka, przewiązane są z tyłu. Krótkie białe piórko (pleureuse) dopełnia przybrania.

N. 7. Ubranie wizytowe.

Suknia jasna wełniana z tuniką upięta na spódnicy i ze stanikiem z baskiną, ozdobiona jest haftem wykonanym wprost na materyale, jedwabiem tego co tło koloru. Przy tunice szlak jest 26 cent. szeroki przy staniku odrobiony na plisie 8 cent. szerokiej. Haft może być maszynowy lub ręczny ściegiem płaskim Stanik z kwadratowym wykrojem, u dołu z przodu jest zaokrąglony, z tyłu ścięty śpiczasto i zakończony kokardą z podwójnie wziętego jedwabnego repsu, koloru sukni. Tunika upięta na sukni składa się z dwóch zachodzących na siebie brytów, z których dłuższy liczy w środku z przodu 90 cent. długości, krótszy zaś zwierzchni 41; obydwa bryty wszyte w pasek razem z suknią, na bokach dla gładkiego leżenia zaszyte są odpowiednio do figury. Tylny bryt prosty 80 cent. długi, 140 szeroki u góry sfałdowany z boków w paru miejscach podpięty, przyczepia się w całej długości do brzegów przednich brytów tuniki, oszyty jest u dołu 13 cent. szeroką frendzlą szmuklerską, daną również przy przednich częściach tuniki.

N. 7. Ubranie wizytowe.

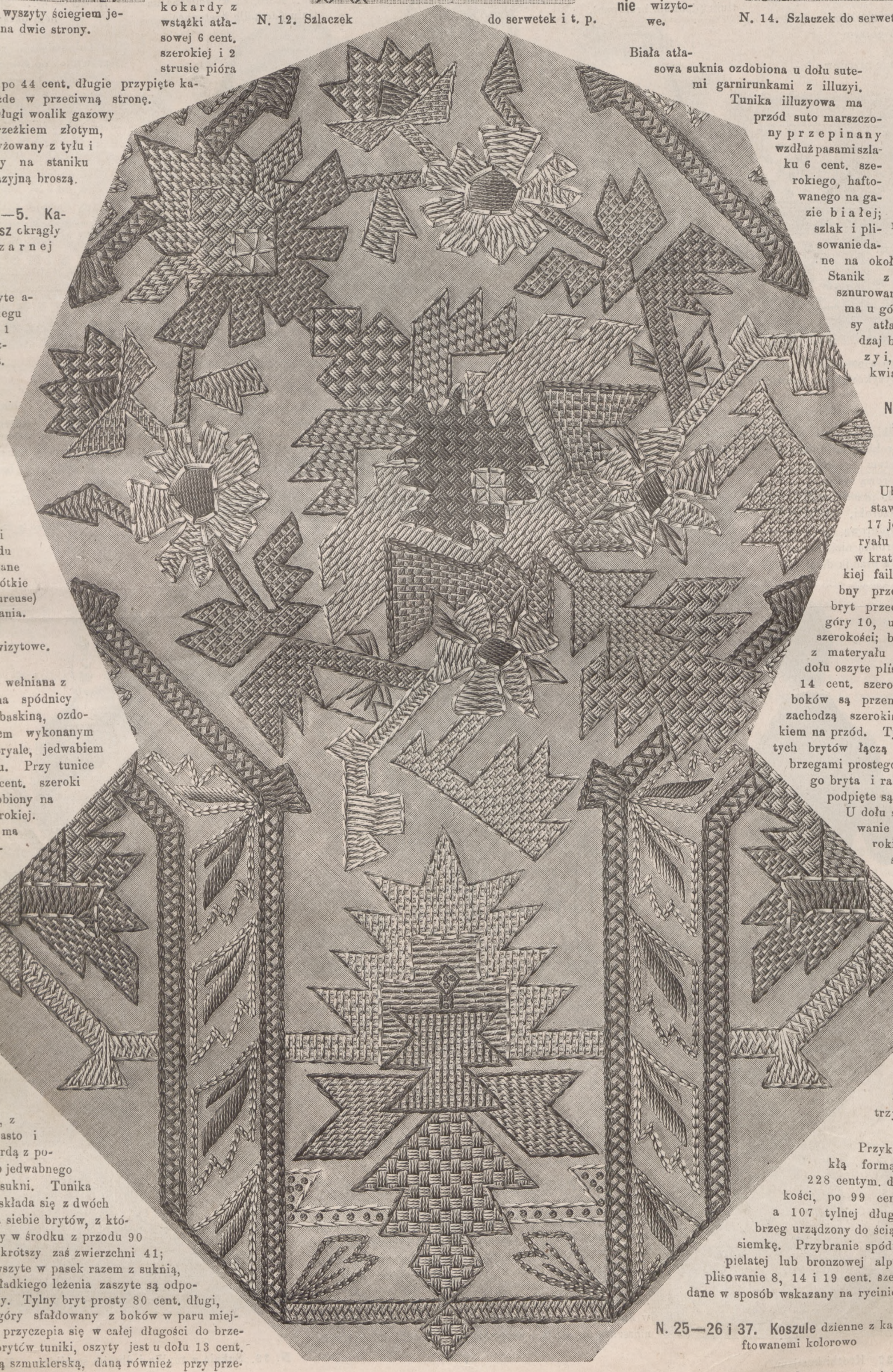
Biała atłasowa suknia ozdobiona u dołu sutemi garnirunkami z illuzyi. Tunika illuzyowa ma przód suto marszczony przepinany wzdłuż pasami szlaku 6 cent. szerokiego, haftowanego na gazie białej; szlak i plisowanie dane na około brzegów. Stanik z bawetem sznurowany z tyłu, ma u góry ranwersy atłasowe i rodzaj berty z illuzyi, przepiętej kwiatami.



N. 15. Szlaczek.

N.17. Suknia z tuniką i spódnicą ubieraną.

Ubranie przedstawione na r. 17 jest z materyału wełnianego w kratę i z gładkiej faille. Jedwabny przemarszczany bryt przedni liczy u góry 10, u dołu 48 c. szerokości; boczne bryty z materyału w kratę u dołu oszyte plisą jedwabną 14 cent. szeroką, wzdłuż boków są przemarszczone i zachodzą szerokim nagłówkiem na przód. Tylne brzegi tych brytów łączą się z tyłu brzegami prostego środkowego bryta i razem z nim podpięte są kokardami. U dołu sukni plisowanie 9 cent. szerokie i riusza środkiem przefałdowana.



N. 18 do 20. Spódniczki trzy krótkie.

Przykrojone zwykłą formą liczą po 228 centym. dolnej szerokości, po 99 cent. przedniej a 107 tylnej długości; górny brzeg urządzony do ściągania na tasiemkę. Przybranie spódniczek z popielatej lub bronzowej alpagi stanowi plisowanie 8, 14 i 19 cent. szerokie, układane w sposób wskazany na rycinie

N. 25—26 i 37. Koszule dzienne z karczkami haftowanemi kolorowo

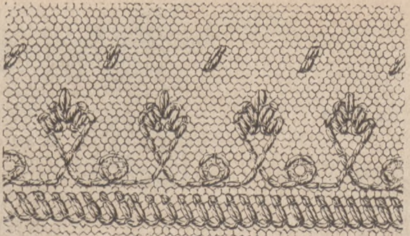
Haft odrobiony jest bawełną ponsową lub granatową podług ryc. 4 i 5 w N-rze 16; ten sam deseń można wy-

N. 16. Środek i czwarta część haftu kolorowego na tle

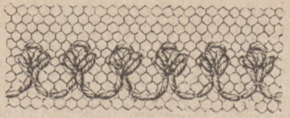
haftować bawełną białą; deseń na rękawki podamy na arkuszu z krojami do N-ru 18 i 19. Ząbki brzeżne przy koszuli ryc. 8, dziergane białą bawełną ozdobione są kolorowemi ściegami; guziczki do zapięcia koszuli na ramionach są również przeszyte kolorową nitką podług ryciny 38.

N. 27—28. Koszula nocna z ozdobnym gorsem.

Sute przybranie przodów ułożone jest na gładkim gorsie i składa się z bufek batystowych 4 cent. szerokich, z dwóch stron otoczonych koronką nicianą 4 centym. szeroką, podwleczoną kolorową wstążką. Po za koronką do przodu dany haft 6 centym. szeroki, naśladujący siatkę gipiurową, podszyty z brzegu koronką nicianą. Oprócz guzików z przodu dane kokardy z kolorowej wstążki, przybranie rękawów odpowiednie do gorsu.



N. 18. Koronka wywodzona na tiulu (dentelle bretonne).



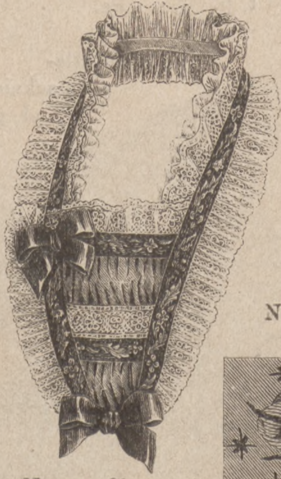
N. 17. Brzeżek wywodzony na tiulu, do zakończenia woalek, chusteczek i t, p,



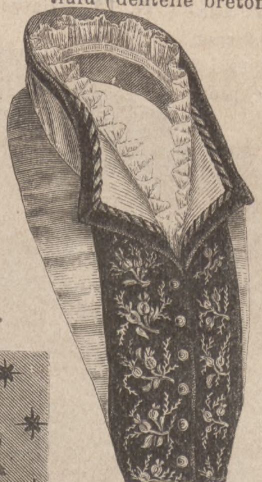
N. 19. Koronka wywodzona na tiulu (dentelle bretonne).



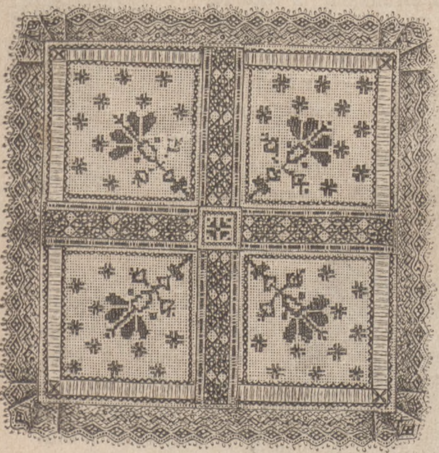
N. 20. Jajko wielkanocne z kwiatów. Patrz ryc. 21.



N. 24. Chusteczka z koronki i bufek patrz ryc. 17—19.



N. 25. Kamizelka haftowana. Patrz ryc. 26.



N. 27. Serwetka z czterech kwadratów wyszytych ściegiem krzyżykowym na kanwie de congres.

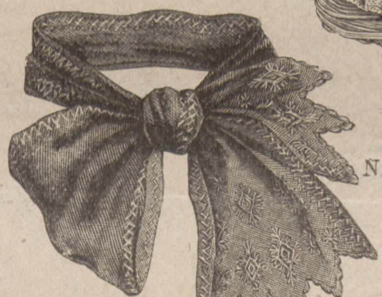




N. 26. Hafcik do ryc. 25.



N. 22. Sztuczny kłębek. Patrz ryc. 23.



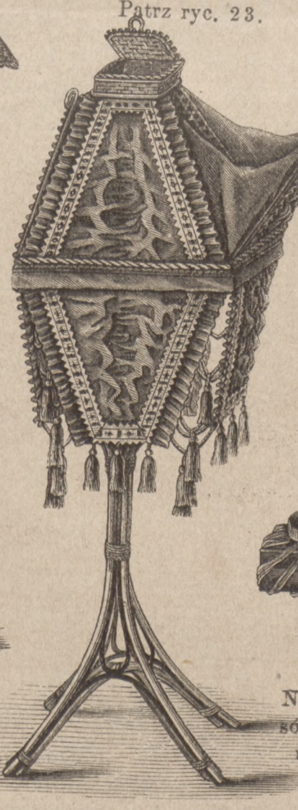
N. 29. Krawatka z czarnej krepy.



N. 30. Krawatka z białego tiulu.



N. 21. Foremka druciana do r. 20.



N. 31. Kosz do robót.



N. 23. Sposób nawijania nici do ryc. 22.

N. 41—42. Spódnica z trenem ściętym kwadratowo.

Na rycinie 42 podajemy w maleńkim formacie wskazanie kroju spódnicy przedstawionej na rycinie 41, ozdobionej wązkiemi falbankami, oszytemi koroneczką. Karczek odznaczony literą a), dany z podwójnego materyału u góry wszyty w listewkę i ściągnięty na tasiemkę, zapina się z tyłu na guziki. Bryty b), c) i d) wszyte gładko w karczek od dwukropka do gwiazdki, bryty zaś e) i f) marszczą się ściśle i wszywają od gwiazdki do krzyżyka. Tylny bryt podszyty jest dwoma listewkami do ściągania w miejscach odznaczonych linją podwójną; podług linii kropkowanej u dołu spódnicy dany wolant 23 centym szeroki; pięć falbanek naszytych na trenie liczą po 10 cent. szerokości.

N. 43 — 44. Spódnica z trenem okrągłym.

Odpowiednia równie jak poprzednio opisywana pod suknie z wielkim trenem, zapięta jest z przodu na guziki a tylne bryty ma pięć razy ściągnięte na tasiemki; trzeba na taką spódnicę wybierać materyał cienki, bo inaczej bryty odstawałyby niezmiernie grubo. Bryty przednie krają się z materyału wziętego skośnie, tylne zaś do przodu mają brzegi proste a środkiem z tyłu schodzą się brzegami skośnemi.

(*Dok. nast*).



N. 32. Krótki kostjum.



N. 33. Suknia z tuniką i długim stanikiem. Krój tuniki w N. 17 ryc. 23.